



ŻYCIE UNIWERSYTECKIE

nr 3 (385) maj / czerwiec 2026

TO JUŻ
70
LAT



**POZNAŃSKI
CZERWIEC**

1956



7 | GŁOSEM PROREKTORA

Prof. UAM Rafał Witkowski

Czerwiec 1956.

Cena godności

27 | ROZMOWA „ŻYCIA”

Prof. Sławomira Wronkowska-Jaśkiewicz

Miasta i uniwersytetu

nie potrafię rozdzielić

32 | W MOIM LABIE

Prof. Piotr

Ziółkowski

Gen doskonałości

55 | MY Z UAM

Prof. Mirosław

Kordowski

Człowiek orkiestra



- 2 | W numerze
- 4 | Uniwersytecki prestiż
- 5 | Krótko mówiąc

GŁOSEM PROREKTORA

- 7 | Prof. UAM Rafał Witkowski.
Czerwiec 1956. Cena godności

TEMAT NUMERU: POZNAŃSKI CZERWIEC 1956

- 8 | Cegielski wychodzi na ulice.
Rozmowa z prof. Stanisławem Jankowiakiem
- 11 | Prof. Krzysztof Brzechczyn. W globalnej perspektywie
- 14 | Prof. UAM Konrad Białecki.
Represje wobec zbuntowanego miasta
- 16 | Krzysztof Smura. Przeszli na stronę Poznaniaków.
Tajemnica teczki 1812/92/90
- 19 | Wojciech Porzuckowiak. Relacja świadka
- 22 | Dr Piotr Grzelczak. Pamięć zakazana, pamięć odzyskana
- 24 | Na deskach teatralnych.
Rozmowa z dr. Przemysławem Kieliszewskim
- 26 | Prof. UAM Marek Nowak. W notce socjologa miasta

ROZMOWA „ŻYCIA”

- 27 | Miasta i uniwersytetu nie potrafię rozdzielić.
Rozmowa z prof. Sławomirą Wronkowską-Jaśkiewicz

W MOIM LABIE

- 29 | Patent zaczyna się od zespołu.
Rozmowa z prof. UAM Robertem Przekopem
- 32 | Gen doskonałości.
Rozmowa z prof. Piotrem Ziółkowskim
- 35 | Eko nie zawsze znaczy bezpiecznie.
Rozmowa z dr inż. Karoliną Brończyk
- 38 | „Mirabelki”. Rozmowa z prof. Rafałem Wójcikiem
i Karoliną Tomczyk-Koziół
- 40 | Miasto mówi muralami.
Rozmowa z dr inż. Malwiną Balcerak

NA TOPIE

- 43 | Antywojenny głos Syberii.
Rozmowa z prof. UAM Zbigniewem
Szymtem

MIEJSCA WSPÓLNE

- 46 | Prof. UAM Tomasz Brańka.
UAM w sieci uniwersytetu
bałtyckiego

VENI, VIDI, VICI

- 48 | Chciałem studiować w kraju,
który ma znaczenie.
Rozmowa z pułkownikiem
T. Justinem Bronderem
- 50 | Murray byłby zadowolony

KONTROWERSJE

- 52 | AI bez magii

MY Z UAM

- 55 | Człowiek orkiestra

DOBRA KSIĄŻKA

- 58 | Zakulisowa władza
średniowiecznych kobiet

OPINIE

- 60 | Prof. Stanisław Puppel.
Oikeios logos – manifest
fundacyjny językoznawstwa
jako nauki centralnej

ADMINISTRACJA

- 62 | Nowe narzędzie dla społeczności
akademickiej: AMU Translator
- 63 | ZAPOWIEDZI



KRAJOWY MISTRZ PO RAZ DRUGI

Prof. Michał Bogdziewicz z Wydziału Biologii został ponownie ogłoszony Krajowym Mistrzem Frontiers Planet Prize! Artykuł, który zapewnił naukowcowi zwycięstwo, to opublikowany w „Proceedings of the National Academy of Sciences” (PNAS) tekst pt. „Growth decline in European beech associated with temperature-driven increase in reproductive allocation”.

– To dla mnie duże wyróżnienie i ważny sygnał, że badania nad funkcjonowaniem lasów w warunkach zmiany klimatu są dziś istotne nie tylko dla ekologów, ale także szerzej, dla zrozumienia przyszłości ekosystemów – mówi naukowiec.



WYRÓŻNIENIE OD ROYAL SOCIETY

Prof. Artur Stefankiewicz, dyrektor Centrum Zaawansowanych Technologii UAM, otrzymał tytuł Fellow of the Royal Society of Chemistry (FRSC).

To jedno z najważniejszych wyróżnień w światowej chemii, przyznawane przez Royal Society of Chemistry naukowcom o wybitnym dorobku i znaczącym wpływie na rozwój nauk chemicznych. Tytuł FRSC nie honoruje pojedynczego osiągnięcia – to uznanie dla całokształtu pracy naukowej i zaangażowania w rozwój społeczności chemicznej.



NOWY PRZEWODNICZĄCY

Prof. Jakub D. Rybka, szef Centrum NanoBiomedycznego, został powołany na stanowisko Przewodniczącego Zespołu Oceniającego ds. Umędzynarodowienia Narodowej Agencji Wymiany Akademickiej.



COPERNICUS DLA PROFESORA

Prof. Leszek Skrzypczak z Wydziału Matematyki i Informatyki UAM został laureatem Polsko-Niemieckiej Nagrody Naukowej COPERNICUS 2026, przyznawanej przez Fundację na rzecz Nauki Polskiej i DFG za wybitne osiągnięcia będące efektem współpracy naukowej polskich i niemieckich badaczy.

Wyróżnienie otrzymał wspólnie z prof. Dorothee Haroske z Uniwersytetu Friedricha Schillera w Jenie za blisko 20 lat wspólnych badań w dziedzinie analizy matematycznej i równań różniczkowych cząstkowych.



Prof. Henryk Koroniak z Homini Vere Academico

Moje życie to cudowne pasmo szczęścia – mówił prof. Henryk Koroniak podczas uroczystości odnowienia doktoratu, która odbyła się w Sali Lubrańskiego Collegium Minus. Wybitny chemik, wieloletni dziekan Wydziału Chemii UAM, 50 lat temu – 1 kwietnia 1976 roku – uzyskał stopień doktora.

Podczas uroczystości profesorowi wręczono również Medal Homini Vere Academico, wyróżnienie przyznawane osobom o wybitnym dorobku naukowym i dydaktycznym oraz szczególnych zasługach dla społeczności akademickiej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.



Sonata i Opus dla UAM

NCN ogłosiło wyniki konkursów OPUS 30 i SONATA 21. Wśród nagrodzonych znaleźli się naukowcy z naszej uczelni.

Laureaci OPUS 30 z UAM:

**Prof. Arkadiusz Marciniak, dr Jan Marcin Romani-
szyn**, Wydział Archeologii

Prof. Jakub D. Rybka, Centrum Nanobiomedyczne
Dr Emilia Jamroziak, Wydział Historii

Dr hab. Łukasz Dominik Kaczmarek, Wydział Psy-
chologii i Kognitywistyki

**Dr Katarzyna Błaszczyk, dr Tomasz Marcin Bielu-
szewski, dr Joanna Maria Gajewska**, Wydział Biologii

Dr hab. inż. Róża Maria Szweda, Centrum Zaawan-
sowanych Technologii

Dr Karolina Jolanta Leszczyńska, Wydział Nauk
Geograficznych i Geologicznych

Laureaci konkursu SONATA 21 z UAM:

Dr Kamil Długosz, Wydział Neofilologii

Dr Marcin Naranowicz, Wydział Anglistyki

Dr Karolina Kułak, Wydział Biologii

**Dr Paweł Kozów, dr Syamlal Sankaran Kunnath,
dr hab. Maciej Behnke**, Wydział Fizyki i Astronomii

**Dr inż. Wojciech Kazimierz Kukułka, dr Wojciech
Janusz Drożdż, dr Kinga Katarzyna Stefanowska**,
Centrum Zaawansowanych Technologii

Dr Kornel Roztock, dr Szymon Sobczak, Wydział Chemii

Dr Miłosz Maciej Malaga, Wydział Prawa i Administracji

Mickiewicz dla Doroty Masłowskiej

Poznaliśmy nazwisko tegorocznej laureatki Nagrody im. Adama Mickiewicza. Wyróżnienie trafiło do Doroty Masłowskiej, która została uhonorowana za powieść „Magiczna rana”, opublikowaną przez Wydawnictwo Karakter, oraz całokształt twórczości.

Nagrodę Stypendium im. Stanisława Barańczaka otrzymała poetka Justyna Kulikowska za kolekcję „Wnyki dla światła”, będącą częścią książki „Wiersze zebrane (2018–2025)”. Nagroda im. Adama Mickiewicza, przyznawana za wybitne osiągnięcia literackie i trwały wkład w rozwój literatury, wynosi 120 000 zł.



Instytut Kulturoznawstwa ma 50 lat

Z okazji jubileuszu odbyła się m.in. konferencja naukowa „Kulturoznawstwo jako nauka. Od epistemologii do metod”

Instytut Kulturoznawstwa UAM, działający od 1976 r., należy do najstarszych ośrodków tej dyscypliny w Polsce. Od pół wieku rozwija badania nad kulturą oraz kształci kolejne pokolenia naukowców i animatorów życia kulturalnego.

Potrójny dyplom

Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu podpisał w Strasburgu umowę z Uniwersytetem w Strasburgu i Uniwersytetem Południowej Danii w sprawie uruchomienia potrójnego programu studiów magisterskich.

Program studiów magisterskich EPICUR w zakresie geopolityki europejskiej, bezpieczeństwa międzynarodowego i prawa to nowy program, który umożliwia studentom uzyskanie trzech dyplomów podczas studiów w Poznaniu, Odense i Strasburgu. Umowa stanowi ważny krok w kierunku zacieśnienia międzynarodowej współpracy akademickiej i rozwoju innowacyjnych europejskich ścieżek edukacyjnych.

NanoTech Poland w UAM

Na UAM miała miejsce Międzynarodowa Konferencja Naukowa NanoTech Poland 2026. Głównym organizatorem tego czterodniowego wydarzenia było Centrum Nanobiomedyczne UAM.

NanoTech Poland to uznane międzynarodowe forum poświęcone nanotechnologii, biomateriałom i zastosowaniom materiałów zaawansowanych. Program spotkania ma na celu ułatwienie i promowanie przekładania wyników badań naukowych na praktyczne rozwiązania przemysłowe i społeczne, a także zapewnienie miejsca dla naukowców z różnych sektorów i na różnych etapach kariery.



CZERWIEC 1956. CENA GODNOŚCI

Jaką cenę musi zapłacić człowiek, by zachować swoją godność? Przekonali się o tym mieszkańcy Poznania w czerwcu 1956 r. Przed wybuchem wojny Poznań należał do najbogatszych miast w międzywojennej Polsce, przy czym zamożność nie była liczona tylko poziomem dochodów, liczbą mieszkań z kanalizacją, oświetlonych ulic, sklepów czy warsztatów. Było to także bogactwo duchowe, mentalne i kulturowe, wynikające z dekad myślenia o rozwoju społeczeństwa w duchu pracy organicznej. To jeden z czynników, który pomógł przetrwać agresywną politykę władzy niemieckiej na przełomie XIX i XX w., zwalczającą polskość. Pierwsze miesiące okupacji hitlerowskiej przyniosły krwawy i szeroko zakrojony terror skierowany przeciw polskim mieszkańcom miasta. Wysiedlenia, konfiskaty mienia, aresztowania czy fizyczna eksterminacja ludności przyczyniły się do załamania społecznej struktury miasta. Zniszczenia centrum Poznania zimą 1945 r. odebrały wielu rodzinom, które przetrwały okupację, resztę ich dobytku. Poznań, jak cały kraj, stał się znacznie uboższy, pod każdym względem.

W przedwojennym Poznaniu komuniści nie stanowili żadnej siły politycznej, a kojarzeni byli przez mieszkańców z zamordowaniem ks. Stanisława Streicha w kościele w Luboniu w lutym 1938 r. Władzę po wojnie przejęli siłą. Jeśli udało się odbudować poznańskie Stare Miasto, to na pewno nie powiodło się zaprowadzenie nowego porządku, który nie opierałby się na wyzysku i przemocy. Hasła równości społecznej kontrastowały z prześladowaniami różnych grup społeczeństwa prowadzonymi przez partię komunistyczną. Slogany o znaczeniu robotników i ich roli w rozwoju kraju nie znajdowały potwierdzenia w decyzjach władz partyjnych i państwowych. Rażące i stale pogłębiające się kontrasty między realiami codziennego życia a pustosłowiem głoszonym przez komunistów ideałów rodziły coraz bardziej widoczne napięcia.

Młode pokolenie robotników nie miało doświadczenia w organizowaniu zborowych protestów. Niewiele pomagały opowieści o przedwojennych strajkach w kwietniu 1920 i w październiku 1923 r. Robotnicy w poznańskich zakładach, przede wszystkim w Zakładach Przemysłu Metalowego im. Józefa Stalina Poznań (dawniej Zakłady im. Hipolita Cegielskiego), stale zmuszani byli



PROF. UAM RAFAŁ WITKOWSKI
Prorektor ds. współpracy międzynarodowej

do pracy ponad normy, za co nie otrzymywali wynagrodzenia. Utrzymanie rodziny stawało się prawie niemożliwe, znaczne zubożenie stawało się powszechne. Prośby o rozmowy były odrzucane, a kiedy już się odbyły – nikt z przedstawicieli władz nie zamierzał dotrzymać złożonych obietnic. Oszukani i okłamani, zmęczeni i przepracowani wyszli 28 czerwca 1956 r. na ulice miasta w pokojowej demonstracji. Wkrótce do maszerujących robotników dołączyli inni. Na placu przy dawnym Zamku Cesarskim zgromadziło się blisko 100 tys. osób. Te pierwsze hasła nie przynosiły politycznego programu, gdyż robotnicy i demonstranci skupili się na kwestiach dla nich istotnych: „Żądamy chleba” albo

„Chcemy żyć jak ludzie”.

Jaka była odpowiedź przedstawicieli partii, noszącej w swojej nazwie słowo „robotnicza” i głoszącej, że robotnicy są przodującą siłą narodu? Natychmiast zmobilizowano lokalną milicję i wojsko z garnizonu poznańskiego. Z okiem budynku Urzędu Bezpieczeństwa ok. 10.40 padły pierwsze strzały. W tym momencie pokojowa demonstracja przekształciła się w nierówne walki na ulicach miasta między wyszkolonymi oddziałami i cywilnymi demonstrantami, którzy zdobyli broń. Pacyfikacja zbuntowanego miasta trwała do godzin przedpołudniowych 30 czerwca, co było możliwe po sprowadzeniu do Poznania blisko 10 tys. żołnierzy i 400 czołgów. Z takimi siłami demonstranci nie mieli żadnych szans.

Do dziś symbolem ofiar pozostaje Romek Strzałkowski, 13-letni chłopak. Choć nadal nie wszystkie okoliczności jego śmierci zostały wyjaśnione, nie zmienia to faktu, że zginął od kuli wystrzelonej przez funkcjonariusza Urzędu Bezpieczeństwa, kiedy podnosił z ziemi biało-czerwony sztandar.

Dla komunistycznej propagandy wydarzenia w Poznaniu zostały zainicjowane przez „agentów imperialistycznych” i „reakcyjne podziemie”. Wielu demonstrantów zostało skazanych w procesach sądowych, a pamięć o tragicznych chwilach była wymazywana przez reżim komunistyczny. Ale wszystkie te działania przynosiły odwrotny efekt. Mieszkańcy Poznania pamiętali i nadal pamiętają o tych, którzy upomnieli się o respektowanie godności człowieka, której nie może odebrać żadna dyktatura, żadne złe moce. A stojący w Poznaniu pomnik przypomina wszystkim, że za obronę ludzkiej godności przychodzi niekiedy zapłacić najwyższą cenę, by następne pokolenia nie musiały żyć w zniewoleniu. ■



CEGIELSKI WYCHODZI NA ULICE

Z prof. Stanisławem Jankowiakiem z Wydziału Historii

ROZMAWIA EWA KONARZEWSKA-MICHALAK

Dlaczego strajk 1956 r. wybuchł właśnie w Poznaniu?

To jest dobre pytanie, bo w dokumentach ówczesnej władzy widać, że spodziewano się protestów w Łodzi lub na Śląsku, gdzie były olbrzymie skupiska robotników, ale nie w praworządym Poznaniu.

Dlaczego Poznań? Żeby to zrozumieć, trzeba sięgnąć do okresu zaborów, kiedy wypracował się model kultu pracy, początkowo związany z obroną polskości. Ale już wtedy rodziła się ewolucyjna droga do poprawy własnego bytu, skupiona na osiągnięciu nadrzędnego celu: wywalczenia swojego minimalnym kosztem, tak żeby nie było ofiar. Ta postawa funkcjonowała dalej w 20-leciu międzywojennym i po wojnie.

Nieprzypadkowo o pracownikach największych zakładów, takich jak Cegielski czy ZNTK, mówi się, że to była arystokracja robotnicza, która ciężko pracowała i była za tą pracę godziwie wynagradzana. Ta postawa nie od razu zderzyła się z bałaganem komunistycznym, bo pierwszy okres po wielkim kataklizmie zwykle jest stosunkowo łatwy do zagospodarowania. Wysiedleni Wielkopolanie z Kraju Warty wracali do domu. Pierwsze, co ich interesuje, to czy mają gdzie mieszkać i pracować. Remontują mieszkania, pomagają uruchomić zakłady pracy. Koniec koszmaru okupacyjnego odbierają jako wyzwolenie.

Sytuacja zaczyna się zmieniać, kiedy władze uznają, że nie ma co owijać w bawełnę: będziemy budować socjalizm. Po rozgromieniu opozycji, ucieczce premiera Stanisława Mikołajczyka z Polski zaczyna się realizowanie otwartego kursu narzuconego przez Związek Radziecki, a to oznacza upaństwowienie wszystkiego, w tym również małych zakładów rzemieślniczych. Ludzie tracą pracę i dojeżdżają do większych miast. A tam nie ma inwestycji ani w komunikację, ani w mieszkalnictwo, nawet wodociągi i kanalizacja źle działają. W miejsce zlikwidowanych prywatnych sklepów nie powstawały państwowe, a te, które działały, były słabo zaopatrzone. Im dalej było od wojny, bym bardziej społeczeństwo oczekiwało stabilizacji, która nie nadchodziła.

Pojawiło się zniescierplwienie i zniechęcenie, zwłaszcza systemem organizacji pracy w zakładach, który nie miał wiele wspólnego z racjonalnością. Zmuszano robotników do ciężkiej, czasami bezsensownej pracy. Mamiło się ich perspektywą, że jak wykonają więcej procent normy, dostaną premię i to pozwoli im lepiej żyć. Splot tych wszystkich czynników stworzył podglebie, na którym nastąpiła eksplozja protestu robotników Cegielskiego.

Nieprzypadkowo tam, bo był to największy zakład, kluczowy w Wielkopolsce, systematycznie rozbudowywany, produkujący również broń. Niektórzy słusznie mówili, że Cegielski to sumie-

nie Wielkopolski. Co zrobi załoga Cegielskiego, to będą robili pracownicy z innych zakładów. Oni wyznaczyli kierunek marszu.

Co było bezpośrednią przyczyną buntu?

Jestem przeciwny teorii, że jedna iskra spowodowała eksplozję, bo proces dochodzenia do strajku trwał jakiś czas.

Po śmierci Stalina i pewnej odwilży system jest ciągle jeszcze silny, więc na otwarty protest nikt się nie zdobędzie, ale robotnicy na przerwach śniadaniowych nie dyskutują. To był pierwszy sygnał, że coś dziwnego się dzieje. Potem idą do związków zawodowych i zakładowego komitetu PZPR. Co prawda nie przyniosło to rezultatu, ale pojawia się impuls w postaci dyskusji nad nowym planem pięcioletnim. Właśnie kończy się plan sześcioletni, który – przynajmniej w zapowiedziach – miał dać 60-procentowy wzrost stopy życiowej. Tymczasem przy bardzo niskich pensjach, między 500 a 1200 zł, i wysokich cenach robotników nie stać na zbyt wiele.

Dyskusja toczy się w zmienionej atmosferze, bo w Związku Radzieckim zaczęła się destalinizacja. W Polsce po ucieczce Światły na Zachód i jego audycji „Za kulisami bezpieki i partii” w Radiu Wolna Europa partia potępiła wypaczenia. Nastąpił przełom psychologiczny, który trudno przecenić. W Cegielskim zgłoszono blisko 5 tys. poprawek do planu. Do wczoraj nikt by się na to nie odważył. Oczywiście władza wysłuchała, ale nie zamierzała ich realizować. Natomiast sam fakt, że budzi się aktywność wśród ludzi, jest efektem pęknięcia bariery strachu.

Kiedy okazało się, że partia nic nie może, w Cegielskim zaczyna się organizowanie niezadowolonych. Finałem będzie wysłanie do Warszawy 30-osobowej delegacji. Tam sytuacja wygląda zupełnie inaczej, bo nagle minister Fidelski jest gotów do współpracy. Robotników najbardziej wściekało to, że nieprawidłowo naliczano im podatek od

wynagrodzeń, w wyniku czego stracili 11 mln zł. Minister mówi, że te pieniądze będą im częściowo zwrócone. Jednak dzień później, 27 czerwca, na masówkach w Cegielskim minister opowiada zupełnie inne rzeczy. Pierwszy sekretarz komitetu wojewódzkiego Leon Stasiak ciągnie go za rękaw i mówi: – Towarzyszu ministrze, samą agitką to my tu nic nie załatwimy. Co możemy dać robotnikom? I słyszy w odpowiedzi, że nic.

Czy nie bez powodu strajk wydarzył się w czerwcu?

W tamtych czasach Międzynarodowe Targi Poznańskie odbywały się tylko raz w roku i trwały miesiąc. Do Poznania przyjeżdżali goście z zagranicy, wystawcy, dziennikarze i – przynajmniej rację władzy – szpiedzy i agenci, ale nie po to, by wywołać rewoltę, tylko by się dowiedzieć, jak wygląda sytuacja w kraju. Dla robotników ten szczególny moment miał znaczenie, bo sądzili, że władze będą musiały się liczyć z tym, że goście z Zachodu rozniosą na cały świat wieści o tym, co się wydarzy w Poznaniu.

Do dziś mnie zastanawia, czemu nie próbowano uspokoić sytuacji. Moim zdaniem dlatego, że doszło do rozgrywki między koteriami w partii. Minister Fidelski mógł cokolwiek obiecać robotnikom, ale tego nie zrobił. Usłyszeli za to, że mają wracać do pracy, co było oczywistym zaproszeniem do protestu. Taką decyzję podejmują robotnicy. W dniu 28 czerwca o 6.30 buczek przy bramie to sygnał dla miasta: Cegielski wychodzi na ulice. Zabawnie wygląda sytuacja, w której Stasiak próbuje powstrzymać 10-tysięczny pochód, którego nie da się zatrzymać. Po drodze robotnicy zachęcają inne zakłady, żeby przyłączyły się do protestu.

Myszę, że to był moment przełomowy, bo do wczoraj bali się własnego cienia. Jednocześnie ich determinacja rosła, bo wiedzieli, że złamali wszystkie zasady i jeśli nie uda się spraw załatwić,



czekają ich poważne konsekwencje. W Małym Kodeksie Karnym za każde przewinienie było od 5 lat więzienia do kary śmierci włącznie.

Poszli pod budynek Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Obok w Zamku była siedziba Miejskiej Rady Narodowej, a w Collegium Iuridicum – Wojewódzka Komenda Milicji Obywatelskiej, rzeczywiste centrum władzy. Robotnicy nie chcieli wywołać powstania ani obalić systemu, tylko realizacji swoich postulatów. Teraz domagają się rozmowy z Cyrankiewiczem, premierem, albo z Edwardem Ochabem, pierwszym sekretarzem partii.

Czy na tym etapie było możliwe powstrzymanie rozlewu krwi?

Tak, gdyby władzom zależało na rozwiązaniu problemu, ale tak nie było. Zwróćmy uwagę na układ czasowy: nieliczne grupki robotników zaczynają gromadzić się na placu o 9.30, a już o 8 rano na Biedrusku jest alarm. Na 10.00 zwołano posiedzenie Biura Politycznego w Warszawie. Wcześniej do Ochaba zgłasza się Rokossowski, ówczesny minister obrony narodowej. Stawia sprawę po męsku, mówi: daj mi wolną rękę, załatw sprawę Poznania. W tym momencie zapada decyzja o pacyfikacji miasta, choć jeszcze nic się nie wydarzyło.

W Poznaniu zaczynają się przemówienia, ulice dookoła są pełne ludzi. Wiadomo, że to nie rozejdzie się po kościołach. W KW Kraśko od propagandy będzie próbował rozmawiać z ludźmi, ale jego możliwości przekonywania są niewielkie. Nikt nie odpowiada tak, jak powinien. Dlaczego? Nie chcę iść w kierunku spiskowej teorii dziejów, myślę, że po prostu był bałagan. Im się w głowie nie mieściło, że coś takiego może się zdarzyć – nie było wypracowanych procedur, co robić w takiej sytuacji.

Gdy pada hasło, że aresztowano delegację robotniczą, która była w Warszawie, odzew tłumu może być tylko jeden: idziemy uwolnić naszych braci. Podchodzą pod więzienie na Młyńskiej. Naczelnik Lewandowski dzwoni i pyta, co ma robić. Nikt nie podejmuje decyzji. Drugie najście kończy się przeskoczeniem przez płot i uwolnieniem więźniów, wśród których nie ma delegacji, bo nie została aresztowana, oprócz Rutkowskiego, o czym nikt nie wie. Tłum idzie na ul. Kochanowskiego, gdzie jest budynek Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego.

Moment przełomowy to ten, w którym pada strzał. Do dzisiaj się zastanawiamy, kto strzelił. Przyjmuje się powszechnie, że strzelił ktoś z UB. Jak było naprawdę, pewnie nie dowiemy się nigdy. Strzały na Kochanowskiego doprowadziły do walk. Wokół było kilkaset osób, reszta rozeszła się już wtedy do zakładów pracy i domów.

Jakie były konsekwencje Poznańskiego Czerwca dla władzy?

Zacznijmy od tego, że Poznański Czerwiec został utopiony we krwi. Skala ofiar była niewyobrażalna. Nie wiem, dlaczego dzisiaj obowiązuje teza, że zginęło 58 osób, 53 wskazali sami ubecy w raportach. Jest szereg wątków, które pokazują, że ofiar mogło być więcej – nawet 100. Nie dlatego, że większa liczba podniosła rangę wydarzenia. Jedna ofiara to już też



MOMENT PRZEŁOMOWY TO TEN, W KTÓRYM PADA STRZAŁ. DO DZISIAJ SIĘ ZASTANAWIAMY, KTO STRZELIŁ

za dużo. Natomiast próbuję szukać prawdy.

W 2006 r. zrobiłem konferencję i ogromną wystawę w Zamku. Zgłosiło się wtedy do mnie kilka osób. Jedną z nich był pan, który w 1970 r. służył w wojsku. Przypadkowo znalazł polankę na poligonie w Biedrusku, na której były rzędy grobów oznaczone nazwiskami i stopniami wojskowymi zmarłych w 1956 r.

Odszukaliśmy to miejsce. Niestety prokurator z Instytutu Pamięci Narodowej nie poszedł tym tropem, choć mówiło się o rozstrzelanych na Ławicy.

Była też plotka, że zginął francuski dziennikarz. Przedstawiciel ministerstwa i rzecznik prasowy targów szukali go w kostnicach. Naliczyli wtedy 113 ciał, ale to nie znaczy, że wszyscy brali udział w buncie. Musimy też pamiętać, że szpitale fałszowały dokumentację medyczną, żeby ochronić rannych. Osoby przyjezdne też mogły ucierpieć, ale nie zgłaszały się po pomoc, bo wiedziały, że mogą mieć kłopoty. Nigdy nie poznamy dokładnej liczby ofiar.

Mogłoby się wydawać, że brutalne stłumienie Poznańskiego Czerwca powinno działać uspokajająco na cały kraj. Społeczeństwo reaguje jednak inaczej. Robotnicy zaczynają domagać się poprawy swojej sytuacji. W dokumentach partyjnych czytamy, że grozili, że zrobią drugi Poznań. Władza godzi się, bo wie, że nie może sobie pozwolić na powtórkę.

Czy to pomaga w walce o władzę na szczytach partyjnych? I tak, i nie. Ci, którzy domagają się pewnej demokratyzacji, mówią: słuchajcie, jak nie poluzujemy, to będziemy mieli mnóstwo takich ognisk. Ortodoksi za to: ledwo trochę poluzowaliśmy, to już nam weszli na głowę. Świadomość Poznańskiego Czerwca tkwi w polskim społeczeństwie i zderza się z próbą wyjaśnienia tego, co się zdarzyło.

Podejście władz również ewoluje – zaczyna się od chuliganów, agentów imperialistycznych. Latem pojawiają się inne wyjaśnienia: był to słuszny protest robotników, wykorzystany przez szumowiny. Nadchodzi październik, kiedy Gomułka mówi, że klasa robotnicza dała nam w Poznaniu bolesną nauczkę, krzyknęła jednym, gromkim głosem: dosyć, chcemy zawrócić z błędnej drogi. Wyśmiał tezę o imperialistycznych agentach – musiał być świadomy, że skoro Poznań zdecydował się wystąpić, tak samo może zareagować reszta kraju. Świetnie to wykorzystał, wtedy nie było popularniejszego polityka od niego w Polsce.

To, co zdarzyło się w Poznaniu, z całą pewnością było elementem przyspieszającym przemianę demokratyzacyjną. Oczywiście bardzo szybko okazało się, że nastąpił powrót w stare koleiny, ale to już nigdy nie była kopia poprzedniego systemu.

Dodałbym jeszcze spontaniczny 300-tysięczny wiec w Warszawie, który musiał podzielać na Gomułkę przerażająco. Nagle zobaczył, że klasa robotnicza może masowo wpływać na władzę. Powiedział ludziom: dość wiecowania, czas przejść do codziennej pracy. Połączenie Poznańskiego Czerwca i spontanicznej reakcji tłumu w październiku to były dwa elementy, które z całą pewnością oddziaływały na przemianę w Polsce po 1956 r. ■





W GLOBALNEJ PERSPEKTYWIE

Poznański Czerwiec 1956 był jednym z pierwszych otwartych buntów przeciwko stalinowskiemu systemowi w bloku wschodnim. Wydarzenia te stały się ważnym sygnałem zachodzących przemian, wywołując zróżnicowane reakcje władz komunistycznych i szeroki oddźwięk międzynarodowy.

KONTEKST

Po II wojnie światowej – w wyniku porozumień jałtańskich – komunizm został narzucony całej Europie Środkowo-Wschodniej. W Albanii i Jugosławii komuniści zdobyli władzę samodzielnie, zaś w Bułgarii, Czechosłowacji, we wschodnich Niemczech, w Polsce, Rumunii i na Węgrzech komunizm został narzucony z pomocą oddziałów Armii Czerwonej. Wkrótce we wszystkich krajach „demokracji ludowych” nastąpiła totalitaryzacja życia społecznego.

W nowo powstałych systemach komunistycznych zaczęło dochodzić do zjawisk, które miały miejsce w Związku Radzieckim w latach 30. Po zniewoleniu społeczeństwa spirala terroru zaczęła obejmować wyższych funkcjonariuszy aparatu partyjnego, których policja polityczna oskarżała o „odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne” bądź spiskowanie z „łańcuchowym psem imperializmu”



PROF. KRZYSZTOF BRZEHCZYN

Wydział Filozoficzny UAM

Josipem Broz-Titą. Do pokazowych procesów politycznych doszło na Węgrzech, w Bułgarii, Czechosłowacji, Rumunii. W Polsce wprowadzie takie procesy nie miały miejsca, lecz Władysław Gomułka został pozbawiony funkcji partyjnych i państwowych, a w latach 1951-1954 przebywał w areszcie domowym.

Destalinizacja systemów komunistycznych dokonywała się zatem w sposób oddolny i odgórny. Podstawą oddolnych ruchów detotalitaryzacyjnych była odbudowa więzów solidarności społecznej. Doprowadziła ona do otwartych buntów, w których domagano się poprawy warunków bytowych i wolności politycznej. Odgórna destalinizacja opierała się na potępieniu kultu

jednostki, rehabilitacji niesłusznie skazanych członków aparatu władzy i wprowadzeniu reform, które miały zabezpieczać przed wypaczeniami, lecz nie naruszać podstaw systemu.

Pierwsze bunty wybuchły w radzieckich obozach pracy jeszcze przed oficjalnym potępieniem kultu Józefa Stalina. Do najbardziej znanych – opisywanych przez Aleksandra Sołżenicyna w „Archipelagu Gułag” – należały bunty więźniów w obozach w Ekibastuzie (styczeń 1952), Workucie (maj – czerwiec 1953) i Kingirze (maj – czerwiec 1954).



Śmierć Stalina 5 marca 1953 r. uruchomiła odgórną destalinizację. Podczas XX Zjazdu KPZR 25 lutego 1956 r. Nikita Chruszczow w tajnym referacie potępił kult jednostki, zrzucając całą winę za partyjne czystki i kolektywizację rolnictwa na Stalina. Przemówienie I sekretarza KPZR – w zamierzeniu tajne – było odczytywane na zebraniach partyjnych, a w Polsce nieoficjalnie powielane i kolportowane.

Odgórna destalinizacja wzmacniała oddolne protesty społeczne. Jednymi z pierwszych były manifestacje i strajki robotnicze, które wybuchły 1 czerwca 1953 r. w Pilźnie i innych miastach Czechosłowacji. W dniach 16-17 czerwca doszło do demonstracji we wschodnim Berlinie, strajki objęły kilkaset miejscowości NRD. W obu przypadkach podłożem wystąpień były kwestie bytowe, lecz protestujący wysuwali również postulaty polityczne.

Poznań był trzecim zbuntowanym miastem bloku wschodniego. W jego największym zakładzie przemysłowym od końca 1955 r. tlił się konflikt o nieprawidłowe naliczenie podatku od wynagrodzeń. Po nieudanych negocjacjach robotnicy zdecydowali się zorganizować manifestację w czwartek 28 czerwca 1956 r. Był to jeden z ostatnich dni odbywających się od 17 czerwca do 1 lipca XXV Międzynarodowych Targów Poznańskich. Brało w nich udział 1246 wystawców z kraju oraz 554 spoza Polski, a wystawy odwiedziło ponad 425 tys. osób, w tym wielu dziennikarzy, handlowców i dyplomatów z Zachodu. Dzięki ich obecności trudno było poznański bunt ukryć przed międzynarodową opinią publiczną.

W OCZACH WSCHODU

W wygłoszonym 18 lipca podczas VII Plenum KC PZPR referacie Edward Ochab, ówczesny I sekretarz PZPR, sformułował tezę o nurtach poznańskiego protestu: były to „machinacje i prowokatorów, i agentów imperializmu”, niedostateczne wysiłki partii „w celu podniesienia stopy życiowej” i „biurokratyczne wypaczenia”.

Ta matryca interpretacyjna powielana była w środkach masowego przekazu poszczególnych krajów komunistycznych.

Można zaryzykować tezę, że tam, gdzie przewagę mieli zwolennicy *status quo*, mówiono o imperialistycznej prowokacji lub poznański protest zupełnie ignorowano. Tam zaś, gdzie wpływy zdobywali zwolennicy destalinizacji, zauważano obiektywne przyczyny niezadowolenia.

W ZSRR dominowała interpretacja „imperialistycznej prowokacji”. W wydaniu „Prawdy” z 30 czerwca ukazał się artykuł pod znamienym tytułem: „Wroga prowokacja agentury imperialistycznej w Poznaniu”. Bardziej znuansowane było stanowisko władz partyjno-państwowych Chińskiej Republiki Ludowej. Wprawdzie zaraz po stłumieniu poznańskiego protestu agencja Xinhua powielala tezę o imperialistycznej prowokacji, a „Renmin Ribao” (Dziennik Ludowy), główny organ KPCh, powtarzał interpretację moskiewskiej „Prawdy”, stosunkowo szybko jednak dostrzeżono obiektywne przyczyny protestu.

W NRD już po południu 28 czerwca odbyło się posiedzenie Biura Politycznego KC SED, podczas którego zauważano podobieństwa do wydarzeń 1953 r. w Berlinie. Partyjny organ „Neues Deutschland” informował o imperialistycznej prowokacji stłumionej przez władze i robotników. W podobny sposób poznański bunt opisywał centralny organ KPCz „Rudé Právo”, a wraz z nim cała prasa czechosłowacka. W Bułgarii w obawie przed naśladowaniem poznańskiego protestu zastosowano blokadę informacyjną: np. ograniczono dostęp do polskiej prasy prenumerowanej przez biblioteki uniwersyteckie, a latem młodzieżowa organizacja komunistyczna odmówiła goszczenia 200 studentów z Polski. Sytuacja w Polsce była również przedmiotem nadzwyczajnego posiedzenia KC Węgierskiej Partii Pracujących, podczas którego przestrzegano zwolenników reform przed uleganiem „knowaniom imperialistów”.

W OCZACH ZACHODU

Poznański bunt odbił się szerokim echem w krajach euroatlantyckich. W relacjach i materiałach prasowych powoływano się na wypowiedzi odwiedzających Poznań turystów, handlowców,

dyplomatów i dziennikarzy. Przytaczano nawet anonimowe wypowiedzi protestujących oraz publikowano przemyczone zdjęcia. Ważną rolę w informowaniu zarówno zachodniej opinii publicznej, jak i społeczeństwa polskiego o przebiegu protestu w Poznaniu i reakcji nań Zachodu odegrało Radio Wolna Europa. Jak wspomina Jan Nowak-Jeziorański, na lotniskach czekali dziennikarze z 18 rozgłośni, którzy nagrywali relacje naocznych świadków. Pozwoliło to odtworzyć przebieg wydarzeń i na bieżąco aktualizować informacje o przebiegu protestu.

W piątek o poznańskim buncie poinformowało w swoim serwisie porannym BBC, a w ciągu dnia aktualizowano informacje, przeprowadzając wywiady z wracającymi z targów handlowcami. Do połowy lipca wydarzenia w Poznaniu nie schodziły ze szpalt prasy brytyjskiej. Krótkie informacje, reportaże czy odredakcyjne komentarze publikowane były m.in. na łamach „Daily Mail”, „Daily Express”, „The Times”, „Daily Herald”, „New Chronicle” czy „Manchester Guardian”.

W zachodnich Niemczech informacje ukazywały się m.in. we „Frankfurter Allgemeine Zeitung”, w „Der Tagesspiegel”, „Die Welt”, „Rheinischer Merkur”. W komentarzach pojawiały się naturalne porównania do wschodniobermberskiego protestu. W USA relacje prasowe publikowano na łamach „Chicago Daily News”, „Washington Post”, „The New York Times”, „New York Herald Tribune”, „The Wall Street Journal” i „Time”. Warto odnotować artykuł Davida Lawrence’a, który 4 lipca 1956 r. w „New York Herald Tribune” nawoływał do organizowania przez związki zawodowe, organizacje społeczne i Kościoły światowej fali protestów. Zainteresowanie prasy trwało aż do połowy lipca 1956 r.

O Poznańskim Czerwcu pisano również w gazetach wychodzących w Argentynie, Brazylii i Meksyku; Argentyńska Partia Socjalistyczna wydała oświadczenie solidaryzujące się z poznańskimi robotnikami. W Azji o poznańskim proteście informował „Hindustan Standard” z Indii, „Al. Zaman” z Iraku i „Naher Garty” z Birmy.

Reakcje rządów – co jest poniekąd zrozumiałe – były bardziej powściągliwe. Departament Stanu USA wydał dwa oświadczenia: jedno 29 czerwca, a drugie 2 lipca 1956 r. W pierwszym potępiano stłumienie protestów przy użyciu siły, w drugim zaś zaprzeczano amerykańskiej inspiracji. Izba Reprezentantów USA zobowiązała prezydenta Eisenhowera do rozważenia przedłożenia kwestii protestu na forum Organizacji Narodów Zjednoczonych oraz podjęcia środków zapobiegających represjom wobec jego uczestników. Amerykanie zbojkotowali udział w przyjęciu zorganizowanym przez ambasadę PRL 22 lipca. Ministerstwo Spraw Zagranicznych Wielkiej Brytanii wydało w sprawie protestu specjalne oświadczenie. O poznańskim proteście wielokrotnie wypowiadał się Konrad Adenauer.

W Kanadzie John Diefenbaker, ówczesny lider opozycji parlamentarnej, wielokrotnie domagał się od rządu Kanady stanowczego potępienia władz PRL. Wprawdzie rząd kanadyjski nie był skory do interwencji, lecz na życzenie posła przekazał stenogramy obrad poselstwu polskiemu w Ottawie, co wywołało protest służb dyplomatycznych PRL.

W Paryżu Francuska Partia Socjalistyczna zorganizowała 12 lipca wiec solidarności z robotnikami Poznania. Przemawiający laureat Literackiej Nagrody Nobla Albert Camus podkreślał łamanie praw obywatelskich i pracowniczych w systemach komunistycznych, co wyrażało się w hasłach protestujących, żądających chleba i wolności. Camus deklarował: „Jeśli chodzi o mnie, wystrzegając się będę zawsze zachęcania w najmniejszym nawet stopniu do walki i buntu ludzi, w których nie mogę brać udziału. Lecz teraz, gdy ludzie ci u kresu ponizeń zbuntowali się, a potem zostali zamordowani – czułbym do siebie pogardę, gdybym ośmielił się pokazać najmniejszą powściągliwość w ocenie tego morderstwa i nie wyrazić całego mojego szacunku dla ofiar represji i całkowitej z nimi solidarności”.

MIEDZYNARODOWE ZNACZENIE POZNAŃSKIEGO CZERWCA

Jesienią 1956 r. doszło do trzech procesów starannie wytypowanych uczestników „wydarzeń poznańskich”. Ostatni proces trwał od 5 do 18 października, a ogłoszenie wyroku miało nastąpić 22 października. Jednakże 19 października, podczas VIII plenum KC PZPR, Władysław Gomułka został wybrany na I sekretarza partii. W nowej sytuacji politycznej wyrok nie został wydany, gdyż Sąd Wojewódzki powołał nowych świadków, którzy mieli zeznawać 6 listopada. Zanim to nastąpiło, sąd zwrócił akta sprawy Prokuraturze Wojewódzkiej w celu uzupełnienia śledztwa. Do końca istnienia PRL-u prokuratura tego polecenia nie wykonała.

Olbrzymią rolę w poznańskich procesach odegrał charyzmatyczny adwokat Stanisław Hejnowski, którego przemówienia były omawiane na łamach prasy i transmitowane przez Radio Poznań. W tym czasie w stolicy Wielkopolski przebywali dziennikarze z „New York Times”, „Le Monde” i „The Times” oraz korespondenci agencji prasowych: United Press, Reuters i Agence France-Press. Zbierane przez nich informacje, wykorzystywane w audycjach Radia Wolna Europa, wpływały na krajową opinię publiczną doby październikowego przełomu. Można zaryzykować hipotezę, że lekcja Poznańskiego Czerwca wpłynęła na samoograniczenie się trzech stron konfliktu: społeczeństwa, władz partyjno-rządowych i... kierownictwa radzieckiego, rozważającego przez pewien czas przeprowadzenie interwencji.

W pośredni sposób Poznański Czerwiec wpłynął również na węgierską rewolucję w listopadzie 1956 r., która rozpoczęła się od wiecu solidarności z Polską zorganizowanego pod pomnikiem Józefa Bema. Manifestanci domagali się przeprowadzenia wolnych wyborów, co doprowadziło do interwencji ZSRR. Rewolucja węgierska była ostrzeżeniem dla dyktatur komunistycznych w Europie Środkowo-Wschodniej przed pokusą zachowania niezmiennego stalinowskiego systemu sprawowania władzy i wstrząsem dla pojańtańskiego porządku międzynarodowego. Warto jednak pamiętać, że choć na węgierską rewolucję bezpośrednio oddziaływały październikowe przemiany w Polsce, to na to, co się działo nad Wisłą, w pośredni i bezpośredni sposób wpłynęło to, co się wydarzyło w czerwcu 1956 r. nad Wartą.





PROF. UAM KONRAD BIAŁECKI

Wydział Historii UAM

REPRESJE WOBEC ZBUNTOWANEGO MIASTA

TEMAT NUMERU:

Ponurą zapowiedzią represji, jakich mogą się spodziewać obywatele zbuntowanego Poznania ze strony władzy ludowej, były słowa, które padły 29 czerwca z ust ówczesnego premiera, Józefa Cyrankiewicza. Stwierdził on m.in.: „każdy, kto podniesie rękę na władzę ludową, może być pewien, że ręka ta zostanie mu odrąbana”. Surowymi karami groził także, tego samego dnia, na pogrzebie funkcjonariuszy Wojewódzkiego Urzędu ds. Bezpieczeństwa Publicznego i żołnierzy jeden z ówczesnych sekretarzy KC PZPR, Edward Gierek.

Pierwszych zatrzymań dokonywali, jeszcze w trakcie tłumienia protestów, żołnierze z jednostek pacyfikujących Poznań. Następnie, w nocy z 28 na 29 czerwca, funkcjonariusze WU ds. BP i Milicji Obywatelskiej prowadzili, niekiedy z ochroną wojska, zakrojoną na masową skalę akcją mającą na celu wyłapanie najbardziej aktywnych uczestników Poznańskiego Czerwca. Działania te kontynuowano jeszcze przez kilka tygodni od zakończenia walk. Według jednego z raportów Komitetu ds. Bezpieczeństwa Publicznego tylko do 8 sierpnia w związku z wydarzeniami Poznańskiego Czerwca zatrzymano łącznie 746 osób (według ustaleń śledztwa prowadzonego przez prokuratorów IPN łącznie miało ich być „nieco” więcej: 1113). Wobec 323 z zatrzymanych zastosowano areszt i wszczęto śledztwo, pozostających, po przesłuchaniach w punkcie filtracyjnym na Ławicy, funkcjonującym od 28 czerwca do 5 lipca, zwolniono.

Należy zauważyć, że wielu z zatrzymanych doświadczyło bru-

talnego traktowania ze strony milicjantów i śledczych. Stosowano wobec nich zarówno przemoc fizyczną, jak i psychiczną, grożąc śmiercią. Przedstawiciele kilku organizacji międzynarodowych apelowali do PRL-owskich władz o powstrzymanie tego rodzaju praktyk i zapewnienie aresztowanym uczciwych procesów. Znamienna dla całokształtu sytuacji w Polsce była początkowa odmowa dopuszczenia zachodnich obserwatorów do uczestnictwa w procesach. Zaniepokojenie, już w ostrym tonie, sformułował Biały Dom. W oświadczeniu z 26 września, a więc tuż przed pierwszymi procesami, wyraził nadzieję, że wszystkim oskarżonym umożliwi się prawdziwą i uczciwą obronę na jawnej rozprawie, bez obawy deportacji na Wschód, co, jak podkreślono, byłoby namacalnym dowodem, że pewne tzw. metody stalinowskie zostały zarówno w praktyce, jak i w teorii odrzucone.

W zmieniającej się sytuacji politycznej naciski okazały się skuteczne i władze polskie zgodziły się na uczestnictwo w procesach nie tylko zachodnich dziennikarzy, ale i przedstawicieli rządów (m.in. pracowników ambasad Francji i Stanów Zjednoczonych) oraz różnych organizacji międzynarodowych.

Rozpoczęcie zapowiadanych początkowo na koniec lipca procesów stopniowo przesuwano. Jedną z przyczyn były przeciągające się śledztwa. Inną – obawa o skutki, jakie mogłyby wywołać widok podsądnych noszących wyraźne ślady pobicia. Chciano więc najpierw, aby wszelkie ślady łamania „socjalistycznej praworządności” zniknęły z ciał oskarżonych. Jednemu

z aresztowanych zaproponowano nawet operację złamanego nosa. Z czasem przyszłych podsądnych zaczęto lepiej odżywiać i codziennie zmieniać ich odzież.

Władze chciały wykorzystać zbliżające się procesy do udowodnienia społeczeństwu przyjętej wcześniej tezy – że 28 czerwca miał miejsce z jednej strony pokojowy, częściowo uzasadniony protest robotniczy, z drugiej pełen chuligańskiej przemocy, niekiedy z użyciem broni, bunt przeciwko władzy ludowej. Właśnie uczestnicy tego drugiego nurtu mieli być postawieni przed sądem.

Tak jak zmieniał się termin rozpoczęcia procesów, tak też zmieniała się przewidywana liczba podsądnych. Początkowo śledczy przygotowywali 51 procesów, w których zasiąść na ławie oskarżonych miało 135 osób. W niektórych sprawach, uznanych za szczególnie ważne, sporządzono nawet po 2-3 wersje aktów oskarżenia. Ostatecznie doszło jedynie do trzech procesów, w których miano sądzić tych, których wina wydawała się bezsporna i łatwa do udowodnienia. Czynnikiem dodatkowo obciążającym wielu z nich były ich wcześniejsze konflikty z prawem. Był to świadomy zabieg rządzących, chcących przedstawić najbardziej aktywnych uczestników Czerwca jako pospolitych chuliganów lub bandytów. Ten zabieg miał też na celu rzucenie pośredniego cienia na całokształt robotniczego protestu.

Pierwszy ze wspomnianych procesów, zwany potocznie „procesem trzech”, rozpoczął się 27 września 1956 r. w budynku Sądu Wojewódzkiego w Poznaniu, u zbiegu ulic Marcinkowskiego i Solnej. Na ławie oskarżonych zasiadli: Józef Foltynowicz, Kazimierz Żurek i Jerzy Sroka. Zarzucono im współudział w napaści na funkcjonariusza organów bezpieczeństwa kaprała Zygmunta Izdebnego, który wskutek odniesionych obrażeń zmarł. Ponadto Żurkowi przedstawiono zarzut niszczenia akt urzędowych Prokuratury Wojewódzkiej i Sądu Powiatowego, a Sroce – niszczenie wyposażenia opanowanego przez demonstrantów więzienia.

Tego samego dnia rozpoczął się w tym samym budynku „proces dziewięciu”. Oskarżeni w nim zostali: Zenon Urbanek, Józef Pochtowy, Stanisław Jaworek, Ludwik Wierzbicki, Łukasz Piotrowski, Stanisław Kaufmann, Leon Olejniczak, Janusz Biegański oraz Jan Suwart. Czterem pierwszym zarzucono, że dopuścili się „wraz z innymi, nieustalonymi sprawcami gwałtownego zamachu na funkcjonariuszy organów BP znajdujących się w gmachu Wojewódzkiego Urzędu do spraw Bezpieczeństwa Publicznego”, natomiast pozostałym przedstawiono zarzut udzielenia pomocy do „gwałtownego zamachu na funkcjonariuszy BP” poprzez dostarczenie broni i amunicji. Do aktu oskarżenia włączono ponadto sprawę zabójstwa Romana Strzałkowskiego i dwóch innych chłopców, mimo iż materiał zebrany w śledztwie nie pozwalał na sformułowanie zarzutów pod adresem podsądnych.

Ostatni z zaplanowanych procesów, tzw. proces dziesięciu, rozpoczął się 5 października. Na ławie oskarżonych zasiadli: Janusz Kulas, Mikołaj Pac-Pomarnacki, Roman Bulczyński, Władysław Kackowski, Hieronim Zielonacki, Marian Joachimiak, Antoni Klimecki, Jan Łuczak, Zygmunt Majcher, Zbigniew Błaszczyk. Oskarżono ich o cały szereg czynów, które nastąpiły w trakcie prowadzenia przez nich walki z żołnierzami LWP, funkcjonariuszami WU ds. BP i akcji przeciwko placówkom MO.

Wydawało się, że oskarżonym we wszystkich trzech procesach mogą grozić bardzo surowe wyroki, tym bardziej że byli oni sądzeni na podstawie małego kodeksu karnego z 1946 r., w myśl którego za zarzucane im przestępstwa groziła kara od 5 lat więzienia do dożywocia lub nawet kara śmierci. Pamiętając, na czym polega „stalinowska sprawiedliwość”, mieszkańcy Poznania byli pełni obaw o los oskarżonych. Niektórzy próbowali nawet, poprzez pisanie anonimów z pogrózkami do prokuratorów i sędziów lub akcją ulotkową, wyrzucić presję na przedstawicieli Temidy. Poznaniacy nie byli w tych działaniach odosobnieni. Zarówno przed rozpoczęciem procesów, jak i w ich trakcie z zagranicy napływały liczne głosy postulujące uczciwe prowadzenie rozpraw i miłosierdzie dla oskarżonych.

Przebieg zarówno „procesu trzech”, jak i dwóch kolejnych: „procesu dziewięciu” i „procesu dziesięciu” zaskoczył obserwatorów. Sędziowie odrzucili w nich zeznania złożone przez podsądnych w śledztwie pod wpływem bicia lub choćby obawy przed pobiciem. Pozwalali również adwokatom oskarżonych na składanie obszernych wyjaśnień, powoływanie biegłych itp. Wspomniani biegli podkreślali psychologiczne uwarunkowania czynów, których dopuścili się podsądni, zwracając uwagę na ich niestabilność emocjonalną spowodowaną młodym wiekiem oraz na ograniczoną poczytalność osób będących pod wpływem rozemocjonowanego tłumy.

Na największe słowa uznania zasłużyli przedstawiciele poznańskiej palestry. Adwokaci (wśród których na specjalne wyróżnienie zasługują: Stanisław Hejmowski, Gerard Kujanek i Michał Grzegorzewicz) stanowczo przeciwstawili się próbom prokuratorów, którzy próbowali oddzielić działania podejmowane przez oskarżonych od kontekstu wystąpień robotniczych, podkreślali pochodzenie robotnicze zdecydowanej większości podsądnych, wskazywali wszelkie luki w materiale dowodowym zgromadzonym przez śledczych. Krótko mówiąc, starali się przedstawić, wbrew zabiegom prokuratorów, toczące się procesy w kontekście społeczno-politycznym. Była to taktyka o tyle skuteczna, że we wrześniu i październiku wyczuwało się już nadchodzące zmiany.

W efekcie wyroki, które zapadły zarówno w „procesie trzech” (Józef Foltynowicz i Jerzy Sroka zostali skazani na 4 lata i 6 miesięcy więzienia, Kazimierz Żurek – 4 lata więzienia), jak i w „procesie dziewięciu” (Zenon Urbanek, Stanisław Jaworek, Ludwik Wierzbicki – 6 lat więzienia, Józef Pochtowy – 3 lata więzienia, Janusz Biegański – 2,5 roku więzienia, Łukasz Piotrowski – 1,5 roku więzienia, Stanisław Kaufmann – 2 lata w zawieszeniu na 5, ponadto Jana Suwarta i Leona Olejniczaka sąd uniewinnił), były znacznie niższe od spodziewanych. Warto dodać, że w „procesie dziesięciu” sędzia, zamiast zapowiedzianego na 22 października ogłoszenia wyroku, najpierw proces wznowił w celu przesłuchania nowych świadków, następnie go odroczył, a wreszcie zaniechał. Wpływ na taką postawę miało bez wątpienia wystąpienie Gomułki, który na VII Plenum KC PZPR stwierdził m.in., że „przyczyny tragedii poznańskiej i głębokiego niezadowolenia całej klasy robotniczej tkwiły w nas, w kierownictwie partii, w rządzie”. Taka wykładnia dokonana przez „towarzysza Wiesława” de facto zamykała możliwość kontynuowania represji. ■



PRZESZLI NA STRONĘ POZNANIAKÓW

To, co zdarzyło się w czerwcu 1956 r., było bez wątpienia jednym z najważniejszych wydarzeń w naszym mieście. To był akt desperacji mający ratować godność mieszkańców, godność Polaków. Po 70 latach od tamtych dni wiemy już bardzo dużo na temat genezy, przebiegu i skutków poznańskiego powstania. Mało wiemy natomiast o żołnierzach, zmanipulowanych przez system, wykonujących rozkazy, strzelających do ludzi lub przeciwnie, odmawiających wykonania rozkazu, inwigilowanych przez bezpieczeństwo, aresztowanych...

KRZYSZTOF SMURA

Specjalna grupa operacyjna Głównego Zarządu Informacji Wojska Polskiego niemal od początku działała na ulicach miasta. Wojskowe UB obserwowało zachowania żołnierzy i sporządzało raporty o wszelkich „odstępstwach od normy”. Grupą kierował płk Radzienczak

– zastępca szefa Głównego Zarządu Informacji. To dla niego oraz władz wojskowych sporządzony został specjalny raport odbity w trzech jednobrzmiących egzemplarzach. W Centralnym Archiwum Wojskowym w Rembertowie jedna z kopii trafiła do teczki 1812/92/90.



„O wynikach pracy grupy operacyjnej GZI w Poznaniu w kierunku wykrycia sprawców prowokacyjnych zająć” – to tytuł raportu przygotowanego przez wojskowych bezpieczniaków. Lista tych, którzy „zawinili”, jest długa. Aresztowano 5 żołnierzy i 2 cywili, wszczęto śledztwo przeciwko 8 wojskowym, „którzy wykazali postawę bądź pochwalającą prowokację, bądź w inny sposób wyrazili z nią swoją solidarność”. Opisy są obszerne. Nie brakuje nazwisk donosicieli. Poniżej kilka przypadków z długiej listy...

STRZELAŁ DO GMACHU

Podchorąży Stanisław Niekłan ze Szkoły Oficerskiej w Poznaniu miał zdaniem wojskowych organów śledczych brać aktywny udział w ostrzeliwaniu gmachu UB. Dodatkową winą podchorążego było ostrzeliwanie jednego z czołgów oraz oddanie pistoletu maszynowego Poznaniakom.

DONIÓSŁ KOLEGA

Sierżanta Zdzisława Przybycienia zadenuncjował kapitan K. z poznańskiego UB. Stało się to tuż po zatrzymaniu jednego z cywili. Niejaki M., znajdując się w gmachu UB, stwierdził jednoznacznie, że wśród walczących Poznaniaków znajduje się sierż. Przybycień. Dodatkowym dowodem przeciw niemu były fotografie wykonane przez pracowników UB. Rannego sierżanta odnaleziono w poznańskim szpitalu.

TO WSZYSTKO WYJATKI Z OBSZERNYCH ZBIORÓW, WŚRÓD KTÓRYCH NIE BRAKUJE:

→PODSŁUCHÓW

Jak ustalono, w dniu 29.06.1956 w godzinach rannych szef Węzła Ruchomego 17 Bat. Łączności kpt. Sikorzak wspólnie z pięcioma szeregowymi słuchali audycji nadawanej przez zachodnie rozgłośnie w celu sprawdzenia prawdziwości podanych w naszej prasie komunikatów.

→ZNALEZISK

28 czerwca o godz. 12.00 elew Gegel znalazł na boisku antypaństwową ulotkę w języku polskim i rosyjskim wydaną przez Sztab Główny NTS. Ulotka była nowa, mimo że padał deszcz. Może spadła z balonu, może ktoś ją podrzucił.

→NAPISÓW NA MURACH

Szeregowy Osiński z kompanii radiotechnicznej, pełniąc służbę wartowniczą, napisał na ścianie budynku, którego pilnował: „My żołnierze chcemy wolnej Polski, a nie ujarzmionej przez zbiorów czerwonych. Im śmierć”. Oprócz tego na klatce schodowej zaczął pisać „My nie chcemy Polski przedwrześniowej, ale”... W tym miejscu mu przerwano. Szeregowego aresztowano.

→POCHWAŁ

Na słowa uznania zasłużył szeregowy Marian Jeziorski z 2. Pułku Czołgów, którego po ogłoszeniu alarmu bojowego pozostawiono na strzelnicy w celu pilnowania amunicji. W toku działań na terenie Poznania dowództwo o szeregowym zapomniało. Dopiero po trzech dniach został złuzowany, a przez ten czas pozostawał bez picia i jedzenia.

→INFORMACJI Z BUTELKI

„Melduję, że jeden z żołnierzy pełniących służbę w jednostce w Kołobrzegu wyciągnął z morza butelkę zawierającą obcojęzyczny tekst. Po poddaniu go pobieżnej analizie doszliśmy do wniosku, że jest to język duński. W sprawie proponuje się powołać biegłego tłumacza, gdyż zachodzi podejrzenie, że tekst jest wrogi naszemu Państwu i może być tropem do ujawnienia ich agenturalnej działalności w Poznaniu. M.”

(dopisek: oddano organom śledczym)

Dwadzieścia lat temu ówczesny minister obrony narodowej Bronisław Komorowski zdecydował o od-tajnieniu wojskowej części akt dotyczących Czerwca '56. To kopalnia wiedzy, do której jeszcze długo będą sięgać badacze meandrów naszej historii.

ZBYT GŁOŚNO MÓWIŁ

Bogusław Kruszona w 1956 r. pełnił służbę w jednostce w Ustce. W czasie zająć przebywał w Poznaniu na 14-dniowym urlopie. Jak twierdzili świadkowie, 28 czerwca był na ul. Dąbrowskiego. Widząc żołnierzy zajmujących ulicę, miał pod ich adresem powiedzieć „stoją i patrzą jak bandyci na ludzi”. Te słowa wystarczyły, by go aresztowano. Doniesienie w tej sprawie złożyło trzech podchorążych W raporcie wymienia się ich z nazwiska.

KREWNY ZDRAJCY?

Donos na kpt. Jareckiego z poznańskiej jednostki nosi wszelkie znamiona prowokacji. Jak czytamy w aktach, był on krewnym innego oficera z lotnictwa, który miał się okazać zdrajcą. Kapitana zadenuncjowali koledzy z jednostki, którzy twierdzili, że wypowiadał antypaństwowe hasła i twierdził, że to, co dzieło się na ulicach, to wynik nędzy, a nie działania imperialistów. To on miał twierdzić, że pierwsze ogień otworzyło UB – „Pewna kobieta strzelała do dzieci”... Z dalszych informacji wynikało, że na kapitana zbierano doniesienia już od dawna.

NAMAWIAŁ DO ZŁEGO

Kapral Jerzy Boguś z jednostki pancерnej w Biedrusku według doniesień świadków miał brać aktywny udział w demonstracji, przyłączając się do tłumów na ul. Mickiewicza. Miał również namawiać żołnierzy ze Szkoły Oficerskiej do zdania broni i wzięcia udziału w walce po stronie Poznaniaków. Ponoć próbował też rozbroić jednego z podchorążych, a później brał udział w walkach o gmach Urzędu Bezpieczeństwa.

BYŁ W MUNDURZE

Podporucznik Rajmund Kuźnicki z jednostki w Krzesinach w czasie zająć miał przebywać pod budynkiem KW PZPR. Doniesienie na niego złożył K. Zdaniem donosiela podporucznik miał wykrzykiwać, że żałuje, iż jest w mundurze, bo pokazałby wszystkim, co należy robić z komunistami, a ponadto pochwałwał wystąpienia „prowokatorów”.

Ciche protesty, a za nimi fala donosów przetoczyła się przez całą Polskę. Główną mocą sprawczą była wówczas plotka, często mocno wyolbrzymiana, ale dzięki temu notesy wojskowych tajniaków puchły w szwach, a szef Głównego Zarządu Politycznego gen. Kazimierz Witaszewski miał co czytać. Oj, miał.

Raporty otrzymywał przez cały lipiec. Musiała go mocno boleć głowa, gdy czytał choćby, że niejaki kpt. Wiesław Suliński na głos mówił: „Niech dadzą robotnikom dobrobyt, a nie tylko obietanki. Moim zdaniem mogli robić strajki, a nie wychodzić na ulicę” czy sierż. Jan Czajka: „Naprawdę trudno się dziwić robotnikowi, który zarabia 500 zł”. Zaniepokojenie musiał u niego wzbudzić por. Wolny, który w trakcie spotkania z donosicielem miał powiedzieć: „zanim otworzę ogień do robotników, najpierw sam sobie strzelę w łeb”. Wtórował mu por. Zdanowski: „Ja z czystym sumieniem winnych zaburzeń postawiłbym pod mur i załatwił się z nimi. Mówi się, że naród jest oddany partii, ale gdyby doszło do wojny i przyszła mobilizacji, to wszystko poszłoby do lasu”. Z kolei kpt. Bronisław Mysak mówił: „Ten strajk był do przewidzenia. Robotnicy są wyzyskiwani. Oburzeni byli na rząd, że towary zagraniczne kupowali sami członkowie rządu, a robotnicy nie dostali nic”. ■





Wojciech Porzuckowiak – elektronik związany z Instytutem Fizyki UAM. Jako 13-latek był naocznym świadkiem wydarzeń Poznańskiego Czerwca 1956.

RELACJA ŚWIADKA

Nazywam się **Wojciech Porzuckowiak**. Jestem elektronikiem, konstruktorem aparatury naukowej związanym z Instytutem Fizyki UAM. Urodziłem się w typowej rodzinie robotniczej. Typowej dlatego, że matka była w domu, a ojciec pracował w Cegielskim, największym zakładzie produkcyjnym w Poznaniu.

Skończyłem szkołę podstawową nr 44 przy ul. Taczanowskiego i w 1956 r. zamierzałem zdawać egzamin do Zasadniczej Szkoły Łączności, która mieściła się na rogu ulic Kościuszki i Armii Czerwonej w tzw. kompleksie zamkowym cesarza Wilhelma. O planowanym strajku dowiedziałem się już dzień wcześniej, a może nawet parę dni wcześniej, podsłuchując rozmowy między matką i ojcem. Ponieważ podanie o przyjęcie do szkoły złożyłem dość późno, musiałem dostarczyć brakujące dokumenty. W czwartek rano, 28 czerwca, matka powiedziała mi: – Słuchaj, synu, jest strajk. Nikomu nic nie mów, tylko zanieś te papiery i zaraz wracaj do domu.

W DRODZE DO SZKOŁY

Mieszkałem wtedy przy ul. Palacza, mniej więcej w środku między ul. Głogowską i Grunwaldzką. Mogłem zatem iść do tramwaju albo na Głogowską, albo na Grunwaldzką. Ponieważ chodziłem do szkoły

w kierunku ul. Grunwaldzkiej, z przyzwyczajenia poszedłem w tym kierunku. Zobaczyłem, że wszystkie tramwaje stoją z opuszczonymi pantografami, i pomyślałem, że chyba rzeczywiście jest strajk. W wieku 13 i pół roku trudno mi było sobie w ogóle wyobrazić, co to jest strajk. Jednak ruszyłem z tymi dokumentami w kierunku szkoły, tzn. ulicą Grunwaldzką, przez Most Uniwersytecki w kierunku Placu Stalina. Przez Most Uniwersytecki ledwie się przecisnąłem, bo była niesamowita ilość ludzi, co mnie bardzo zdziwiło. Do szkoły już nie doszedłem. Zresztą przestało mnie to interesować. W oknach Zamku pełno było wywieszonych białych flag. Może to nie były flagi, tylko prześcieradła, bo skąd można było wziąć rano białe flagi? Przypuszczam, że to były białe płótna imitujące flagi, jak gdyby na znak poddania. Na Zamku wywieszony był bardzo duży transparent: „My chcemy chleba” i „My chcemy pracy”. Być może szyk wyrazów był inny.

Ja oczywiście nie interesowałem się, kto był wtedy pierwszym sekretarzem. Być może Kraško. W zasadzie

nie interesowało mnie, kto tam przemawia, ale w każdym razie były jakieś zamieszki na placu zamkowym. Jednak trwało to krótko. Bardzo krótko. Tłum był tak gęsty, że nie mogłem do tej szkoły dojść, ludzi mogło być 50 tys., może 100 tys. Trudno powiedzieć ile, w każdym razie cały plac był zapełniony.

NAPIERW WODA, POTEM STRZAŁY

Nagle ten tłum zaczął się kierować w stronę ul. Kochanowskiego. Ja oczywiście z tym potokiem ludzkim też tam zmierzałem. Znalazłem się przy ul. Dąbrowskiego naprzeciw Teatru Nowego i obserwowałem, co się dzieje. Próbowałem dojść jeszcze na ul. Kochanowskiego, ale doszedłem tylko do skrzyżowania ulic Mickiewicza i Dąbrowskiego. Nawet wspiąłem się na niski, parterowy budynek i stamtąd oglądałem rozwój wypadków. Pierwsze, co zobaczyłem (a była to godz. 10, może 11), to olbrzymie strumienie wody lane z okien gmachu UB hydrantami przeciwpożarowymi. Tych strumieni było chyba kilkanaście, skierowanych z okien na tłum otaczający gmach UB. Nagle rozpoczęła się strzelanina. Nie wiedziałem, kto do kogo strzela, bo nie było widać, kto strzela. Ludzie zaraz ściągnęli mnie z dachu i tak sobie krążyłem ulicami, żeby coś ciekawego zobaczyć. W każdym razie jak rozpoczynała się strzelanina, to tłum panicznie się cofał. Kiedy znalazłem się na ul. Dąbrowskiego, przyjechał chyba pierwszy czołg. Zatrzymał się przy Teatrze Nowym i został podpalony. Nie wiem w jaki sposób, prawdopodobnie jakąś butelką z benzyną czy czymś podobnym. Ten czołg nie oddał żadnego strzału, prawdopodobnie nie był nawet uzbrojony, załoga wyskoczyła z niego. Ludzie żołnierzy nie bili, ale ich przygarnęli, w każdym razie unieszkodliwili w ten sposób, że nie pozwolili im dalej tym czołgiem jechać.

ZRZUCIĆ MASZT

Dalej krążyłem ulicami Kochanowskiego, Poznańską, Mickiewicza, Słowackiego. Strzały stawały się coraz częstsze, puszczane seriami, z tym, że strzelających osobiście nie widziałem. Widziałem tylko jednego rannego, który dostał kulę, ale prawdopodobnie to był rykoszet. Nawierzchnia ulic była zrobiona z kostki brukowej i prawdopodobnie kula rykoszetem się od niej odbiła i trafiła go w nogę. Przyjechała karetka pogotowia ratunkowego i od razu setki ludzi zrobiły krąg i przyglądały się, jak lekarze oglądali nogę rannego, ale był to tylko siniak, nie było krwi, dlatego uważam, że to był rykoszet. No i krążąc tak dalej zauważyłem, że zaczyna się coś dziać w gmachu obecnego ZUS, gdzie była stacja zagłuszająca audycje nadawanego z zagranicy Radia „Wolna Europa”. Tłum utworzył krąg, tak że przed samym gmachem było puste miejsce, i zaczęto wyrzucać urządzenia zagłuszające. Grupy demonstrujących zaczęły wyrwać urządzenia nadawcze i wyrzucać (to było chyba szóste piętro) wszystkie urządzenia elektryczne, stojaki, szafy, mnóstwo papierów. Tylu papierów leżących na ulicach nie widziałem i chyba już nigdy nie zobaczę. Całe chodniki i ulice były nimi zasłane. Na końcu tłum się zaśmiał, bo ktoś wyciągnął gaśnicę, otworzył ją, posikał w powietrze i też zrzucił. Kiedy pojawiło się kolejne urządzenie w oknie, to tłum klaskał. Na koniec w oknie pojawiła się szafa biurowa, demonstranci mieli kłopoty,



żeby ją za okno wysunąć. Po chwili im się udało. Pamiętam, jak szafa leciała, leciała, leciała i jak się roztrzaskała w drobny mak. Jak się te urządzenia roztrzaskiwały, to znalazłem transformator, zabrałem go ze sobą, bo już wtedy interesowałem się elektrycznością. Był jednak zbyt ciężki i nieporęczny, więc schowałem go sobie za płotem, w krzakach.

TRAMWAJE NA MOŚCIE

Gdy przypomniałem sobie, że mam oddać dokumenty w szkole, próbowałem się tam przedostać. Nie było to jednak możliwe, bo strzelanina była już coraz większa. Znamienne jest, że nie było wiadomo, kto strzelał, skąd i do kogo. W mieście echo strzałów roznosiło się wszędzie. Bardzo dziwne było to, że tłum rozbiegał się chaotycznie; jedni w prawo, drudzy w lewo, bo nie było wiadomo, kto i skąd strzela. W każdym razie każdy uciekał do jakiejś bramy, pod jakiś mur, jak usłyszał taką serię. To było straszne, taka cisza, seria z jakiegoś karabinu i wszyscy pierzchali. Nie byłem na dworcu, gdzie podobno schwymano przybywającego do pracy pociągiem pracownika UB. Jak się później dowiedziałem, nazywał się Izdebnny. Nienawiść do Urzędu Bezpieczeństwa wywołała



w tłumie agresję. Ludzie pobili tego człowieka i prawdopodobnie nie dopuścili nawet pogotowia ratunkowego, żeby zabrano tego skatowanego do szpitala. Dalej krążyłem w okolicach Zamku i ok. godz. 16 dowiedzieliśmy się, że na pomoc broniącej się tam załodze Urzędu Bezpieczeństwa jedzie wojsko z jakiejś jednostki spoza Poznania. Ktoś krzyknął, że trzeba zabarykadować Most Dworcowy. Próbowano przewrócić stojący na moście tramwaj linii 5, który składał się z dwóch wagonów. Próbowano przewrócić pierwszy wagon, ale to się nie powiodło, ponieważ był złączony z drugim wagonem, który go stabilizował. Na moście stał jeszcze jeden tramwaj, ale już lżejszej konstrukcji, i ten ludzie przewrócili na jezdnię, a na niego drugi wagon, i w ten sposób droga dla ruchu kołowego stała się nieprzejezdna. Wszyscy czekali, co teraz będzie. Kolumna samochodów wojskowych jechała ul. Marchlewskiego. Gdy zorientowali się, że wiadukt jest zabarykadowany, skręcili w Aleję Stalingradzką i dalej przez Most Teatralny dojechali na ul. Kochanowskiego. Pamiętam, jak ludzie z tłumu krzyczeli do żołnierzy, żeby stanęli po stronie demonstrantów i nie robili im krzywdy. Na końcu kolumny samochodów wojskowych, co mnie rozbawiło, znajdowała się

kuchnia polowa. Jak wojsko jedzie, to zawsze jakaś kuchnia musi być, bo jak długo można walczyć bez jedzenia?

PŁACZ MATKI

Około godz. 17 jeszcze próbowałem przedzierać się do ul. Kochanowskiego, ale było tam już bardzo niebezpiecznie. O godz. 17.30 wybrałem się do domu i znalazłem się tam ok. godz. 18.30. Powiedziałem mamie, że nie udało mi się złożyć tych papierów do szkoły i jutro pójde jeszcze raz, ale ona od razu zamknęła mnie w pokoju na klucz i powiedziała, że już nigdzie nie pójde. Jak się później dowiedziałem od rówieśników, egzaminy w szkole tego dnia były, ale rozpoczęły się o 8.00, gdy jeszcze nie było tam tak tłoczno. Później zostały przerwane i większość ludzi stamtąd obserwowała zajścia, bo bała się nawet wyjść z tej szkoły. Sale znajdowały się na drugim czy trzecim piętrze naprzeciwko Zamku. Były tam balkony, na które wychodzono i oglądano, co się dzieje. Po kilku dniach zaniósłem w końcu brakujące dokumenty i akurat w sekretariacie szkoły zapłakana matka wycofywała dokumenty, mówiąc, że jej syn zginął podczas demonstracji.

Wojciech Porzuckowiak



DR PIOTR GRZELCZAK

PAMIĘĆ ZAKAZANA, PAMIĘĆ ODZYSKANA

Poznański Czerwiec 1956 to bez wątpienia jedno z najważniejszych wydarzeń w najnowszych dziejach Polski. Tej oczywistej, podręcznikowej konstatacji należałoby przeciwstawić inną. Wielki i – co istotne – oddolny bunt Poznaniaków okupiony krwią kilkudziesięciu ofiar był przez kolejne dziesięciolecia marginalizowany, obłożony urzędową anatemą i spychany w sferę społecznej niepamięci, co istotnie kłóci się z jego wielką rangą historyczną.

W tym nieoczywistym zestawieniu nie ma jednak przypadku. Droga, która doprowadziła Czerwiec 1956 do przyznania mu należnego miejsca w narodowym panteonie pamięci, była bowiem wyjątkowo długa i wyboista. Warto o tym pamiętać zwłaszcza dziś, gdy już w wolnej Polsce „o pierwszym buncie społeczeństwa w PRL” przypominamy sobie zazwyczaj w tzw. trybie rocznicowym.

Zasadniczy problem z Czerwcem 1956 od samego początku miała, co oczywiście rozumiały, komunistyczna władza. Jego oddolny, antysystemowy, a przede wszystkim robotniczy charakter trwale zniszczył propagandowe lustro, w którym tak lubiła przeglądać się Polska Zjednoczona Partia Robotnicza. „Poznań

nie tylko przecież zwiastował jeden z największych kryzysów w dziejach systemu politycznego budowanego nad Wisłą i Wartą pod nieprawdziwymi hasłami sojuszu robotniczo-chłopskiego, władzy ludowej, sprawiedliwości dziejowej etc., ale przede wszystkim w widowiskowy sposób godził w samą istotę owego siłą narzuconego porządku, w ramach którego bunt robotników przeciw reprezentującej ich klasowe interesy robotniczej władzy był właściwie niemożliwy. Skoro jednak do niego doszło, rodziło to naturalną konstatację, że władza owych interesów nie reprezentuje, że jej historyczne powołanie to wielki bluff, że traci tym samym jakikolwiek mandat do rządzenia w imieniu tzw. klasy robotniczej. To właśnie z tej przyczyny tyle wysiłku i energii wło-

żono najpierw w brutalne stłumienie Czerwca 1956 bezpośrednio na poznańskiej ulicy, a krótko potem w kampanię propagandową mającą objaśnić społeczeństwu PRL jego „obcą” naturę.

Wczesnym latem 1956 r. niemieszczące się w żadnych ideologicznych ramach wystąpienie robotników Poznania zostało tym samym zdefiniowane jako prowokacja, kontrrewolucyjna awantura, dywersja i spisek, za które pełną odpowiedzialność ponosić miał szeroko pojęty „wróg”. Ta budząca powszechny sprzeciw ocena Poznańskiego Czerwca 1956, wzmocniona dodatkowo słynną radiową mową premiera Józefa Cyrankiewicza, w czasie której grzmiał on o odrąbaniu ręki tym wszystkim, którzy ośmieliliby się ją podnieść na władzę ludową, została tymczasowo zakwestionowana na fali Października 1956 przez powracającego do władzy i dobrze odczytującego społeczne nastroje Władysława Gomułkę. Dokonana przezeń redefinicja Czerwca 1956 wskazywała, że do poznańskiego pęknięcia doprowadziły błędy stalinizmu wypaczające istotę idealnej socjalistycznej doktryny, zaś sam protest miał charakter robotniczy i był uprawniony. W tej tymczasowo użytecznej interpretacji tkwiło jednak spore niebezpieczeństwo, gdyż siłą rzeczy legitymizowała ona niedopuszczalną w obowiązującym systemie politycznym instytucję robotniczego strajku. To właśnie z tej przyczyny już w 1957 r. zdecydowano się na zduśnienie rozwijającej się dyskusji wokół Czerwca 1956 gomułkowskim: „Ciszej nad tą trumną”. Problem generowany przez „Poznań”, jego pamięć i dziedzictwo musiał być w każdym razie znaczny, skoro w przededniu jego pierwszej rocznicy do czerwcowego matecznika, czyli Zakładów Cegielskiego, pofatygował się sam Gomułka, aby zaapelować do poznańskich robotników o zaciągnięcie „żałobnej kurtyny milczenia” nad ubiegłoroczną „rodzinną tragedią”. Błyskawiczne opuszczenie owej kurtyny odbywało się w asyście wysoko postawionych sekretarzy partii władzy, powolnych im związków zawodowych, wyjątkowo ostrej cenzury prewencyjnej, a także nadzwyczajnej aktywności tajnej policji politycznej.

Późną wiosną 1957 r. rozpoczęto proces wdrażania najdłuższej, bo ponaddwudziestoletniej, strategii obranej przez ludową władzę wobec Poznańskiego Czerwca 1956, strategii konsekwentnego przemilczenia. Gwarantem jej skuteczności w przestrzeni publicznej były represje wymierzone we wszystkich tych, którzy czerwcową ewaporację chcieliby przełamać.

Zwiastunem nadchodzącej zmiany w zakresie miejsca Czerwca 1956 w polskiej przestrzeni publicznej były lata 1976-1980, które przyniosły w PRL budowę zorganizowanej opozycji. Postanowiła ona nie tylko odwołać się do tradycji „Poznania”, ale także starała się podejmować, oczywiście w sposób adekwatny do swoich – wciąż skromnych – możliwości, zorganizowane próby jego upamiętnienia. Prawdziwy przełom nastąpił jednak

dopiero na fali powstania „Solidarności”, która jednoznacznie uznała Czerwiec za jeden z najważniejszych budulców swojej młodej tożsamości. Właściwie dopiero teraz pojawiła się wyrazista i skonceptualizowana, opozycyjna wykładnia „Poznania”, ukazująca tradycję oporu, obnażająca zakłamanie komunistycznej ideologii i praktyki, tym silniejsza, że wzmocniona także późniejszymi wydarzeniami: Grudniem 1970 i Czerwcem 1976. Szczytowym momentem tych wydarzeń było odsłonięcie monumentalnego Pomnika Poznańskiego Czerwca 1956 na Placu Mickiewicza (28 VI 1981 r.) oraz publikacja książki „Poznański Czerwiec 1956” pod red. Jarosława Maciejewskiego i Zofii Trojanowiczowej (Poznań 1981). Warto przy tym zauważyć, że gwałtowność owego upomnienia się o Czerwiec nie tylko świadczyła o głęboko skrywanej społecznej potrzebie jego upamiętnienia, ale stanowiła również koronny dowód na to, że polityka historyczna prowadzona wobec niego przez blisko ćwierć wieku poniosła spektakularną porażkę. Komunistyczne władze znalazły się wówczas w głębokiej defensywie. Odrę-

agować po 13 grudnia 1981 r. mogły, dopiero gdy rozwinęły rozmaite strategie zmierzające z jednej strony do zneutralizowania solidarnościowego dyskursu o Poznańskim Czerwcu 1956, z drugiej zaś do swoistego przejęcia i politycznego oswojenia jego odrzucanego przez lata dziedzictwa. Tego typu działania okazały się jednak spóźnione, a także wyjątkowo nieskuteczne, i to mimo potężnego wsparcia polityczno-propagandowego. Do końca lat 80. partyjne władze stojące za

organizacją kolejnych oficjalnych rocznic Czerwca 1956 zyskały bowiem potężnego przeciwnika w walce o jego pamięć, jakim były podziemne struktury opozycyjne.

W 1989 r. złożony proces odzyskiwania najpierw zakazanej, później zaś zmanipulowanej pamięci dobiegł szczęśliwie końca. Miejsce Poznańskiego Czerwca 1956 w polskiej przestrzeni publicznej wydaje się dziś niepodważalne. Wraz z nieuchronnym odchodzeniem bezpośrednich uczestników poznańskiego zrywu, którzy w wolnej Polsce byli naturalnymi depozytariuszami Czerwcowej pamięci, trzeba sobie jednak postawić fundamentalne pytanie: co tak naprawdę z Czerwca 1956 dziś pamiętamy i jak go rozumiemy? Nie chodzi tu nawet o wymienienie najważniejszych nazwisk Czerwcowych bohaterów, obecnych od jakiegoś czasu w miejskiej onomastyce, czy też wyjaśnienie przesłania Poznańskich Krzyży. Wydaje się bowiem, że po 70 latach stoimy przed daleko poważniejszym zadaniem, jakim jest przygotowanie dla Czerwca 1956 i jego wielkiego historycznego przesłania zupełnie nowej płaszczyzny pamięci. Wszystko po to, aby mógł on stać się elementem nie tylko poznańskiej czy też wielkopolskiej tożsamości i dumy, ale ogólnopolskim, niejako uniwersalnym symbolem niezgody i oporu wobec nieprawości władzy. ■

ZASADNICZY PROBLEM Z CZERWCEM 1956 OD SAMEGO POCZĄTKU MIAŁA KOMUNISTYCZNA WŁADZA

NA DESKACH. TEATRALNYCH

Z dr. Przemysławem Kieliszewskim, absolwentem Wydziału Prawa i Administracji UAM, dyrektorem Teatru Muzycznego w Poznaniu,

ROZMAWIA KRZYSZTOF SMURA

TEMAT NUMERU:

Kolejna premiera Teatru Muzycznego, tym razem dotycząca Czerwca '56, za nami. Nie pytam dlaczego, bo to głupie, ale o kierunek muszę spytać. Historia, a zatem i Pamięć często gości na deskach Muzycznego...

Miałem szczęście mieć dobrych i inspirowanych historyków w szkołach, które kończyłem: Dariusz Młodzianowski, działacz podziemia, mówił nam przy zamkniętych drzwiach o zabójstwie ks. Jerzego Popiełuszki, Michał Sobański o zbrodni katyńskiej, a prof. Eliza Liberkowska przez cały okres nauki w liceum pokazywała nam, że rzeczywiście „historia jest nauczycielką życia”.

Z Markiem Tymą do dziś rozmawiamy o historii, chodząc po górach. Pamiętam temat matury w Liceum im. Ignacego Jana Paderewskiego o państwie Jagiellonów...

Natomiast teatr spełnia również funkcje edukacyjne, a historia jest naszym tożsamościowym zakorzeniem. Stąd spektakl o Paderewskim – jednej z najważniejszych osób dla zintegrowania Wielkopolan wokół idei odzyskania niepodległości. Wcześniej inscenizowaliśmy też przedstawienie o barwnych latach 20. i 30. przed nadejściem nazizmu – o tym jest musical „Cabaret”, wyprodukowany na początku tego sezonu. Można powiedzieć, że konsekwentnie opowiadamy wiek XX – również spektaklami o Irenie Sendlerowej czy o zniewoleniu gotowanym jednostkom przez systemy totalitarne w „Kombinacie” Wojciecha Kościelniaka z piosenkami Grzegorza Ciechowskiego i zespołu Republika. Teraz spektaklem o Poznańskim Czerwcu '56 nie tylko przypominamy tę historię. Sami odkrywamy, jak ona była i jest ważna dla tożsamości Poznaniaków. Poznań,



tak jak był zacznem polskiej państwowości, sam wyrwał niepodległość zwycięskim Powstaniem Wielkopolskim, został niezwykle mocno doświadczony podczas II wojny światowej (o czym się zapomina), w 1956 r. na gruncie tej tożsamości również pierwszy sprzeciwił się tek masowo siermiężnemu, niewydolnemu i nieludzkiemu systemowi komunistycznemu.

Ma pan jakieś własne „wspomnienia” związane z Poznańskim Czerwcem?

Osobiście nie bardzo [śmiej]. Ale mój ojciec, Tadeusz, po obejrzeniu „Rewolty” dodał rozdział do spisanych przez siebie wspomnień. Jako dziesięcioletek najpierw, wracając z babcią ze sklepu przy ul. Poznańskiej, obserwował tłum, zmierzający głośno – bo częściowo w charakterystycznych drewnianych butach roboczych „okulakach” – również tamtędy pod gmach UB przy Kochanowskiego. Potem siedział niemal całe popołudnie 28 czerwca w swoim oknie w kamienicy na rogu Krasieńskiego i Roosevelta i obserwował wydarzenia. Szczęśliwie dla niego wyszedł na chwilę do kuchni – wtedy w okno wpadł odłamek, a w parapet, na którym siedział, wbiło się grube ozdobne szkło z górnej części okna. Napisał jeszcze o swojej mamie, Helenie, i siostrze, Majce, które spędziły noc z 28 na 29 czerwca w przychodni na Słowackiego, gdzie zatrzymała je godzina policyjna. W kamienicy był jeden telefon wówczas, więc długo nie było wiadomo, co się z nimi stało. Na ulicach było wtedy 100 tys. ludzi. Prawie każda poznańska rodzina przechowuje więc jakieś trudne wspomnienia. A książ-



ka Jarosława Maciejewskiego i prof. Zofii Trojanowiczowej z 1981 r. rozeszła się wówczas w gigantycznym nakładzie – co było ewenementem na pół roku przed wprowadzeniem stanu wojennego, gdyż wcześniej nie wolno było wspominać o tych tragicznych wydarzeniach, w których zginęło blisko 60 osób, wielu było rannych, a wielu musiało dyscyplinarnie opuścić Poznań, w którym otrzymali zakaz pracy, jak np. ojciec Krzysztofa Krawczyka.

Wybór piosenek grupy Maanam nie był przypadkowy. Co pana zainspirowało?

Siedzieliśmy we trzech nad moimi notatkami, które stanowiły zarys scenariusza. Przemek Pilarski, który jest jego twórcą, i Jerzy Jan Połoński, który pięknie zainscenizował i wyreżyserował ten spektakl. To on nas nakierował na muzykę Marka Jackowskiego i teksty Kory. Zaczęliśmy słuchać po kolei tych piosenek i robić notatki. Niemal każda z nich wydała nam się niezwykłym poetyckim komentarzem do czasów słusznie minionych...

Mnie zachwycała druga część „Rewolty”, a słonie po prostu wbiły w fotel... Komu zawdzięczamy tę scenę?

Tak, *Parada słoni*, podobnie jak *Kreon* czy *Stoję, stoję*, robią w spektaklu niesamowite wrażenie. Na naszej małej scenie widzimy i słyszymy poruszające się czołgi... To zasługa twórców – poczynając od genialnych aranż, stworzonych przez Łukasza Damrycha do melodii Marka Jackowskiego, kończąc na choreografii Basi Olech, znanej z musicalu „1989”. Swoją robotę dołożyli scenograf, reżyser światła i autorzy wizualizacji. Ale wizja Jerzyka Połońskiego i jego talent reżyserski zasługuje na szczególne uznanie.

Czy trudno dziś dostać licencję na tego typu przedsięwzięcie? Pytam, bo przecież niedawno sukcesem zakończyły się rozmowy na temat musicalu z piosenkami Anny Jantar.

Rozmowy ze spadkobiercami często nie są łatwe. Ale trzeba być w nich transparentnym. Czasem oczekiwania mogą być wygórowane, a my jako teatr publiczny nie jesteśmy w stanie im sprostać. Ale jakość produkcji, którą oferujemy, i uczciwość w płaceniu tantiem skłaniają do współpracy, do której wracamy po latach rozmów. Tak jest ze spektaklem o Poznaniance Annie Jantar, która stała się ikoną kultury popularnej w latach 70. i 80. Premierę zaplanowaliśmy 11 września 2027 r. i będzie to ostatnia duża premiera na starych deskach przy ul. Niezłomnych.

Na koniec pytanie o przyszłość. Obserwujemy jakieś szalone przyspieszenie. „Rewolta”, przed nami „Pani Doubtfire”, chwilę potem „Dracula”. Czy wiemy już, jaki tytuł dostąpi zaszczytu otwarcia nowej sceny?

Tak. Jesteśmy przede wszystkim teatrem rozrywki. A ponieważ budujemy nowy gmach, zaplanowaliśmy cały repertuar do końca 2028 r. i teraz planujemy to, co będzie się działo w największej dla realizacji musicali sali w Polsce. Właśnie wybieram się do Londynu, by o tym rozmawiać, ale też by testować najnowsze systemy nagłośnieniowe. Proszę się nie spodziewać, że ogłosimy cokolwiek przed zawarciem umów licencyjnych. Równoległe prowadzimy rozmowy z polskimi twórcami. Decyzja o pierwszym spektaklu jest bardzo trudna i będzie wydarzeniem, które... à propos... przejdzie do historii.

Gdy już będziemy mieli pewność otwarcia nowego teatru w zakładanym terminie na początku 2029 r., z pewnością ogłosimy przedsprzedaż na to wyczekiwane przez wszystkich Poznaniaków, Wielkopolan, ale także fanów musicalu z całej Polski wydarzenie. ■

W NOTCE SOCJOLOGA MIASTA

Współczesna recepcja Poznańskiego Czerwca nie jest jednoznaczna, podobnie jak niejednoznaczne są obrazy tego zdarzenia w oczach kolejnych pokoleń Poznaniaków.

Zapewne każde pokolenie zdanie to widzi nieco inaczej. Bezpośredniość doświadczenia oddala się od nas wraz z odchodzeniem kolejnych kohort osób urodzonych w okresie okupacji i wcześniej. Nie oznacza to, że jest to historia całkowicie pisana czy oglądana, jak w filmie z 1996 r. (który można obejrzeć na YouTube). Bezpośrednie wspomnienia mają osoby, które w 1956 r. były dziećmi, a dzisiaj przekroczyły już 80 lat, i to jest zapewne obraz transferowany w opowieściach rodzinnych. Historia opowiadana w mojej rodzinie związana jest z wujkiem, który pamiętnego 28 czerwca zniknął na cały dzień, a struchlała jego siostra (moja matka) wsłuchiwała się w głosy wystrzałów i odgłos kul karabinowych uderzających w ceramiczne dachy nieistniejącej już pierzei kamienic przy Św. Marcinie i ul. Kantaka. Wuj Henryk, ówczesny nastolatek, wrócił żywy wieczorem, wlokąc ze sobą części z wyrzuconej na ulicę aparatury zagłuszającej Radio Wolna Europa. Jak mówił przywołany w publikacji z 2017 r. mecenas Michał Grzegorzewicz:

„kto widział ten pochód, ten go chyba nie zapomni do końca życia. Gdy karnie szli w ordynku, szli zdyscyplinowani i z dumą, i z godnością. Ale nie zapomnijmy o tym, że to nie szedł tłum spacerowiczów, tłum gapiów, tłum kibiców [...]. Szedł tłum wrzący i kipiący, tłum gniewny. W miarę jak gęstniał, jak wzrastał się odgłos kroków, narastała również temperatura uczuć. Taki nastrój to dynamit. Niebezpieczna staje się każda iskierka”.

Topografia walk i zdarzeń związana jest z Jeźycami i centrum. Jak dzisiaj wiemy, zdecydowana większość śmiertelnych ofiar Czerwca nie brała bezpośredniego udziału w walkach, a wynikała z „bezludnej strzelaniny” – jak podaje hasło na Wikipedii. Moja pamięć bezpośrednia związana jest z PRL i z którąś kolejną rocznicą (z drugiej połowy lat 80. XX w., jak mi nie mam), kiedy to z okna Zamku obserwowałem pacyfikację Poznaniaków usiłujących złożyć kwiaty pod pomnikiem Czerwca '56, który stał się symbolem i miejscem świętym dla wszelkich przejawów nieposłuszeństwa wobec władzy PRL.

Pamięć mojego pokolenia i zdecydowanej większości współczesnych Poznaniaków (z których spora część jest przyjezdna)



PROF. UAM MAREK NOWAK
Wydział Socjologii UAM

nosi piętno przekazu z drugiej ręki i jest pochodną ich / nas zainteresowania historią. W badaniach opinii publicznej Poznański Czerwiec prawie nie funkcjonuje (tak wynika z danych CBOS), co wynika zapewne z typowej dla Poznaniaków oszczędności, powściągliwości i skromności. Nacisk na pamiętanie i celebrowanie tej pamięci spoczywa na społeczności mieszkańców i środowiskach lokalnych polityków, artystów, aktywistów i przewodników oprowadzających wycieczki. Świętowanie ma więc charakter mniej powszechny, a bardziej okazjowy, niemniej uprzestrzenniony

(na Dębcu, w okolicach zapewne Kochanowskiego, Dąbrowskiego i na Św. Marcinie czy na targach). Jego dynamika skupi się raczej w mediach społecznościowych i będzie zależała od tego, czy i jak lokalni facebookowi liderzy i liderki opinii zwrócą na okrągłą rocznicę uwagę.

Będą jednak i wydarzenia unikalne, choć cykliczne, jak przyznanie Nagrody Stukot '56, doceniającej osoby i organizacje „które walczą o godność i solidarność nie tylko słowem, ale konkretnym działaniem”, organizowane przez Muzeum Powstania Poznańskiego – Czerwiec 1956 w Poznaniu, czy kolejna, VI edycja Ogólnoszkolnej Konferencji „Rozprawa Młodych nad Czerwcem '56”. Wyraźnie nasuwa się obraz pracy u podstaw nad pamięcią wydarzeń Poznańskiego Czerwca, w której obszarem oddziaływania objęte jest głównie młode pokolenie. Przekaz, jakkolwiek instytucjonalnie zapośredniczony, ma zindywidualizowany charakter poprzez opowieści o konkretnych osobach i masowym kontekście walki o sprawiedliwość i wolność. Tutaj powstanie robotników przedstawiane jest jako swoisty „poznański” drugi, zbiorowy (po buncie na terenie byłej NRD) puzzle w dynamice środkowoeuropejskiej demokratyzacji. ■

Z OSTATNIEJ CHWILI:

Poznań będzie gospodarzem Szczytu Wolności i Solidarności z okazji 70. rocznicy Czerwca '56. W spotkaniu uczestniczyć będą przywódcy państw regionu oraz Prezydent RP Karol Nawrocki.



MIASTA I UNIWERSYTETU NIE POTRAFIĘ ROZDZIELIĆ

O granicach prawa, autorytecie instytucji, kulturze prawnej i odpowiedzialności za państwo opowiada **prof. Sławomira Wronkowska-Jaśkiewicz** – była sędzia Trybunału Konstytucyjnego, przedstawicielka poznańskiej szkoły teorii prawa i wieloletnia wykładowczyni UAM.

ROZMAWIA Z NIĄ **MAGDA ZIÓŁEK**

Wspominała pani, że decyzja o studiowaniu prawa narodziła się po szkolnej debacie o Jagnie z „Chłopów”, podczas której była pani jej obrończynią. Co wtedy najbardziej poruszyło młodą licealistkę i czy dziś widzi w tej historii początek swojego myślenia o prawie?

Obrona Jagny w szkolnym procesie była impulsem, który pomógł mi podjąć decyzję o wyborze studiów prawniczych. Nie warto poświęcać mu uwagi. Miałam wtedy mizerne wyobrażenie o prawie. Myślenie o nim zaczęło się później.

Rozumiem. W tej samej rozmowie powiedziała pani także: „Mnie bardziej interesują reguły gry niż reguły wygrywania”. Co kryje się za tym zdaniem w odniesieniu do prawa i życia publicznego?

Rozumiem to jako przekonanie, że w prawie najważniejsze są zasady, procedury i sposób budowania sprawiedliwego systemu, a nie samo osiągnięcie doraźnych celów czy zwycięstw. Czy współczesne życie publiczne i praktyka prawa nadal zostawiają miejsce na takie myślenie?

Mówiąc, że interesują mnie reguły gry, mam na myśli, że na prawo można spoglądać jako na pewną konwencję zbudowaną z reguł. Zajmuje mnie ów konwencjonalny aspekt prawa, normy postępowania jako szczególnego rodzaju wypowiedzi, powiązania między nimi, zasady konstrukcji systemu prawa. Mam jednak na myśli także to, że instytucje prawne i przyznawane różnym podmiotom upoważnienia mają swoje cele. Można z nich czynić użytek zgodnie z ich przeznaczeniem, w dobrej wierze, i wtedy

powiemy, że gra toczy się według reguł. Można jednak próbować wygrywać, nadużywając upoważnień i instytucji. Owej pokusie instrumentalizacji ulegać może prawodawca, stosujący prawo, jego interpretator, ekspert. Ekspozycja przeze mnie reguł gry jest jednocześnie wyrazem silnej dezaprobaty dla instrumentalizacji prawa, której przez wiele lat doświadczaliśmy.

Podczas odbierania tytułu Zasłużona dla Miasta Poznania mówiła pani,

że prawo „dobrze nadaje się do tego, żeby układać sprawy społeczne i wprowadzać w nie ład”, ale jednocześnie „używanie go jako instrumentu ma swoje granice”. Gdzie dziś – pani zdaniem – te granice przebiegają? Czy są obszary życia społecznego i politycznego, w których zbyt często próbujemy zastępować odpowiedzialność, zaufanie czy kulturę społeczną samym prawem?

Od połowy lat 60. ubiegłego wieku przeżywamy kryzys legislacyjny, gubimy się w gąszczu szczegółowych, często zmienianych, niespójnych przepisów. Mamy poczucie ich nadmiaru, a jednocześnie nie potrafimy precyzyjnie ustalić, czy chodzi o nadmiar w stosunku do potrzeb regulacyjnych, czy zdolności egzekwowania ustanowionych norm, czy o przyswojenie ich przez zainteresowanych. W moim przekonaniu, wobec skomplikowania współczesnego świata i tempa zachodzących w nim zmian, prawa nie będzie mniej i nie będzie ono prostsze. Trzeba więc z uporem budować społeczne przekonanie, że prawo nie jest wszechmocne, że wydanie kolejnej ustawy czy uszczegółowienie obowiązujących przepisów nie zawsze zmieni nasze życie na lepsze. Potrzebne jest też sprzeciwianie się postawie elit politycznych traktujących prawo jako rzekomo tani środek osiągnięcia założonych celów. I wreszcie trzeba nam utrzymywać świadomość, że dla efektywności prawa potrzebne jest wsparcie innych norm społecznych, poszanowanie dobrych obyczajów i pielęgnowanie z takim trudem kształtującej się w naszym kraju kultury politycznej i prawnej. Obserwujemy przecież, jaką cenę przychodzi nam płacić za ich lekceważenie czy nawet intencjonalne naruszanie.

Podręcznik „Wprowadzenie do prawoznawstwa”, napisany wspólnie z przedstawicielami młodszego pokolenia badaczy, został w tym roku nagrodzony podczas Poznańskich Targów Książki. Pani sama przez lata pracowała u boku prof. Zygmunta Ziemińskiego. Czy ma pani poczucie, że w nauce i dydaktyce prawa istnieje coś takiego, jak przekazywanie akademickiej tradycji z pokolenia na pokolenie?

Kształcenie nowych badaczy i uniwersyteckich nauczycieli oraz przekazywanie im akademickich tradycji należy do istoty uniwersytetu. Za jedną z najwartościowszych form takiego kształcenia uważam wspólną pracę badawczą, pracę w zespole. Sama miałam szczęście w ten sposób wzrastać, prof. Zygmunt Ziemiński był



Trybunał odarty z autorytetu nie jest w stanie spełniać swojej roli – mówi prof. Sławomira Wronkowska-Jaśkiewicz

bowiem prekursorem badań zespołowych w teorii prawa. Podręcznik, którego współautorami są moi byli wybitni seminarzyści, **Michał Krotoszyński** i **Piotr Zwierzykowski**, jest rezultatem zbiorowego wysiłku, przemyśleń naukowych i doświadczeń dydaktycznych. Praca nad nim, w której toku nie mało się od siebie nauczyliśmy, a i naruszyliśmy nieco zasłużone mury poznańskiej szkoły teorii prawa, sprawiła nam wiele satysfakcji.

Przez lata działała pani jednocześnie w nauce i życiu publicznym – od Rady Legislacyjnej po Trybunał Konstytucyjny. Czy łatwo było zachować akademicki dystans i niezależność?

Można być blisko spraw państwa i polityki, żywo się nimi interesować, ale nie odczuwać potrzeby i gotowości, by się w politykę angażować. Krótko mówiąc, można nie być zainteresowanym porzuceniem swojej akademickiej roli i wtedy zachowanie dystansu, o którym pani mówi, nie sprawia trudności. Zachowanie go ułatwia też do pewnego stopnia odległość między Poznaniem a rozedrganą politycznie Warszawą. Jest tu więcej spokoju na przygotowywanie ekspertyz, a takie zadanie miałam w Radzie Legislacyjnej. Poza tym Rada opiniuje rządowe projekty ustaw pod względem prawnym, nie wypowiada się na temat ich celowości czy przyjętych w nich rozwiązań merytorycznych. Mało tu przestrzeni na politykę. Jeśli natomiast chodzi o Trybunał, to zachowanie niezależności należy do elementarnych powinności sędziego. Nie twierdzę, że to w każdych okolicznościach łatwe. Warto jednak wspomnieć o pewnej formie samoograniczenia niezależności. Polega ona na tym, że osoba, od której oczekujemy niezależności, tak silnie związana jest politycznie, ideologicznie, światopoglądowo z elitami władzy, że swą wiedzę i umiejętności oddaje na ich usługi.

Jak doświadczenie pracy w Trybunale Konstytucyjnym zmieniło pani sposób myślenia o relacji między prawem, państwem i społecznym zaufaniem do instytucji?

Trybunał Konstytucyjny ma olbrzymią władzę. Jest upoważniony do eliminowania z systemu niezgodnych z konstytucją aktów uchwalonych przez demokratycznie wyłonionego prawodawcę. Jego rozstrzygnięcia mają nierzadko wpływ na sytuacje tysięcy ludzi oraz bieg spraw państwowych i – co ważne – są ostateczne. Sędzia, kierując się prawem, musi mieć to cały czas na uwadze. Musi też pamiętać, by w razie konfliktu prawa i jego prywatnych przekonań nie dawać im pierwszeństwa. Trybunalska władza wiąże się przy tym z pewnym zakresem swobody orzekania. Aby wydać wyrok, trzeba bowiem zinterpretować konstytucję, która z konieczności jest aktem lakonicznym. Każdy przeto wyrok Trybunału wymaga jak najstaranniejszego uzasadnienia, wyłomnienia obywatelom racji, jakimi się kierowano, wydając go. W ten sposób buduje się zaufanie do instytucji i jej autorytet

kształtuje kulturę konstytucyjną i wpisuje w stały proces legitymizowania konstytucji jako prawnego fundamentu państwa. Nie jest możliwe, iżby każdy kolejny wyrok Trybunału przysparzał mu autorytetu, ale nie wolno dopuszczać, by go uszczuplał. Trybunał odarty z autorytetu nie jest w stanie spełniać swojej roli. Nauczyłam się więc, że trud budowania dobrze działających instytucji nigdy się nie kończy, że ich siłą jest autorytet i zaufanie, na które muszą zapracować, i że osiągnąć to można w dialogu z obywatelami. Praca w instytucji sprawującej władzę utwierdziła mnie w przekonaniu, że władza wymaga usprawiedliwienia.

Wielu pani studentów wspomina nie tylko wykłady, ale też atmosferę intelektualnej dyscypliny i życzliwości. Jakiej postawy wobec prawa i życia akademickiego starała się pani uczyć młodych ludzi?

Nie robiłam niczego szczególnego. Rzetelnie prowadziłam zajęcia, szanowałam studentów, wysoko stawiałam im poprzeczkę, uczyłam ich odpowiedzialności. Starałam się nie narzucać swego stanowiska, lecz je wyjaśniać. Chciałam, aby nasze kontakty były przesycone akademickim etosem.

Odbierając tytuł Zasłużonej dla Miasta Poznania, mówiła pani, że to wyróżnienie jest dla pani szczególnie ważne, ponieważ otrzymała je od „miasta, które uważa za swoje”.

Urodziłam się w Poznaniu, ale dzieciństwo i lata licealne spędziłam poza nim. Wróciłam do Poznania na studia i od tego czasu jest on moim miastem uniwersyteckim. Tak właśnie to określam, ponieważ miasta i uniwersytetu nie potrafię rozdzielić. W Poznaniu wydarzyło się wszystko, co w moim dojrzałym życiu najważniejsze. Cieszy mnie, że się rozwija i pięknieje. Chciałabym jednak, by było w nim więcej rozmachu i optymistycznej atmosfery, a mieszkańcy cieszyli się swoją poznańskością. ■

SŁAWOMIRA WRONKOWSKA-JAŚKIEWICZ

jest profesorem nauk prawnych, wieloletnią wykładowczynią Wydziału Prawa i Administracji UAM oraz przedstawicielką poznańskiej szkoły teorii prawa. Kierowała Katedrą Teorii i Filozofii Prawa, pełniła funkcję prorektor UAM, była także przewodniczącą Komitetu Nauk Prawnych PAN i członkinią Rady Legislacyjnej przy Prezesie Rady Ministrów. W latach 2010-2019 orzekała jako sędzia Trybunału Konstytucyjnego. Jej zainteresowania badawcze obejmują teorię prawa, teorię legislacji, problematykę państwa prawa oraz wykładni konstytucji.

W MOIM LABIE

PATENT ZACZYNA SIĘ OD ZESPOŁU



Jak powstaje patent i co decyduje o tym, że technologia opracowana na uniwersytecie ma szansę trafić do przemysłu? O pracy zespołowej, ochronie własności intelektualnej i badaniach, które nie kończą się na publikacjach, z **prof. UAM Robertem Przekopem** z Laboratorium Procesów Technologicznych CZT UAM

ROZMAWIA MAGDA ZIÓŁEK

Podkreśla pan znaczenie pracy zespołowej we współczesnej nauce. Jakie czynniki decydują o skuteczności i sukcesie zespołów badawczych?

Współczesna nauka, szczególnie w obszarze nauk ścisłych i technicznych, opiera się w dużej mierze na pracy zespołowej. Złożoność współczesnych problemów badawczych sprawia, że ich efektywne rozwiązywanie wymaga łączenia różnych kompetencji, doświadczeń i perspektyw. Moje podejście do pracy zespołowej kształtowało się m.in. podczas współpracy z **prof. Bogdanem Marcińcem**, który podkreślał znaczenie dużych, dobrze zorganizowanych



i różnorodnych grup badawczych. Z czasem przekonałem się, że rzeczywiście to właśnie zespoły, w których kompetencje ich członków się uzupełniają, osiągają najlepsze rezultaty. W dobrze funkcjonującym, dużym zespole kluczowa jest różnorodność, zarówno pod względem specjalizacji, jak i sposobu rozwiązywania problemów. Dzięki temu możliwe jest spojrzenie na zagadnienia badawcze z wielu perspektyw i wypracowanie bardziej kompleksowych rozwiązań. Takie podejście sprzyja nie tylko rozwojowi badań podstawowych, ale także tworzeniu nowych koncepcji i kierunków badawczych. Zapamiętałem też słowa **prof. Stefana Jurgi**, który mówił, że odpowiednie połączenie ludzi daje rezultat znacznie większy niż prosta suma ich możliwości. Takie zespoły są w stanie osiągać naprawdę dużo, również w obszarze wdrożeń i praktycznych zastosowań.

Istotną rolę odgrywa także koordynacja pracy zespołu przez lidera, wyznaczanie celów, dbanie o spójność działań i zapewnienie odpowiednich warunków do pracy badawczej. Równocześnie ważne jest, aby poszczególni członkowie zespołu mieli przestrzeń do rozwijania własnych pomysłów i prowadzenia badań, za które biorą odpowiedzialność.

Jestem też zwolennikiem szeroko rozumianej współpracy naukowej, również wykraczającej poza jedną jednostkę. Jako zespół intensywnie współpracujemy z partnerami naukowymi i przedsiębiorstwami z kraju i zagranicy. To właśnie otwartość na

współpracę sprzyja powstawaniu nowych idei i pozwala unikać zamknięcia w jednej perspektywie.

I jeszcze jedno. Wspomniała pani o „sukcesie”; otóż mam poczucie, że to pojęcie dziś się zdevaluowało. Żyjemy w rzeczywistości, w której niemal codziennie ogłaszane są kolejne sukcesy: w nauce, sporcie, polityce. Tymczasem dla mnie jako naukowca sukces jest wynikiem konsekwentnej pracy całego zespołu oraz stopniowego rozwoju prowadzonych badań. Głęboko w to wierzę, że sukces tworzą ludzie, a nie aparatura czy instytucja.

Skoro tak mocno podkreśla pan znaczenie zespołu, to warto go przedstawić.

Mam dość specyficzny sposób zarządzania zespołem: nie funkcjonują u nas sztywne role. W codziennej pracy stale pojawiają się nowe problemy: coś się opóźnia, nie wszystko przebiega zgodnie z planem, dlatego ważne są elastyczność i gotowość do podejmowania różnych zadań. Zależy mi na tym, żeby każdy członek zespołu rozwijał szerokie kompetencje, nie ograniczał się wyłącznie do wąskiej specjalizacji. Nasza grupa specjalizuje się w związkach krzemoorganicznych. Badania nad tą grupą związków zainicjował na naszym uniwersytecie prof. Bogdan Marciniak. Staramy się podchodzić do nich przede wszystkim praktycznie, szukając realnych zastosowań dla opracowywanych technologii i substancji.

Kluczową rolę w zespole odgrywają **dr Bogna Sztorch** i **dr Anna Olejnik**, które współtworzą jego kierunki badawcze i prowadzą własne projekty. Obie badaczki uzyskały granty w programie Lider NCBR i samodzielnie odpowiadały za ich realizację. Nie przepadam za słowem „prestżowe”, w tym przypadku znaczenie tych projektów dla rozwoju kariery młodych naukowców określiłbym jednak jako przełomowe, dające szansę osiągnięcia samodzielności naukowej. Samo uzyskanie grantu nie oznacza sukcesu, sukces jest wypadkową wielu zmiennych, realizacji projektu, stworzenia zespołu i wreszcie realizacji postawionych celów.

Wspomniane projekty miały na celu przełożenie wyników badań na konkretne zastosowania, zarówno w obszarze chemii kosmetycznej, jak i materiałów polimerowych oraz druku 3D. Projekty te zostały z powodzeniem zrealizowane, a ich rezultatem są m.in. zgłoszenia patentowe i publikacje naukowe. W dużej mierze to właśnie efekty pracy dr Bogny Sztorch i dr Anny Olejnik stanowią podstawę patentów, o których rozmawiamy, są one również częścią szerszej działalności całego zespołu. Należy przy tym pamiętać, że procedury patentowe są długotrwałe, a ich finalizacja jest zwieńczeniem wieloetapowej pracy badawczej.

Powiedział pan o liderkach, ale zespół jest znaczenie liczniejszy...

Rzeczywiście, zespół jest większy, a poza mną i prof. Marcińcem tworzą go w dużej mierze kobiety. Jest to cecha naszej grupy, która – w mojej ocenie – bardzo dobrze się sprawdza. Kluczowe znaczenie ma jednak nie tyle skład zespołu, ile kompetencje, odpowiedzialność i zaangażowanie jego członków. W codziennej pracy niezwykle istotne są dobra organizacja, precyzja oraz systematyczność, które pozwalają konsekwentnie realizować zadania badawcze i osiągać wyniki. Dobrze funkcjonujący zespół potrzebuje osób, które nie tylko prowadzą własne projekty, ale także potrafią efektywnie współpracować i współtworzyć sposób działania całej grupy. Dlatego podkreślam rolę dr Bogny Sztorch i dr Anny Olejnik, nie tylko jako liderki projektów, ale również jako współtwórczyń organizacji pracy zespołu i jego kierunków badawczych. Ich zaangażowanie i doświadczenie mają istotny wpływ na wyniki osiągane przez całą grupę. W proces badawczy, zwłaszcza przy opracowywaniu rozwiązań będących podstawą zgłoszeń patentowych, istotny wkład mają również młodszy członkowie zespołu: **dr Daria Pakuła** i **dr Miłosz Frydrych**, a także doktorantki i doktoranci. Ich praca badawcza, świeże spojrzenie i zaangażowanie stanowią ważny element rozwoju prowadzonych projektów.

Podkreśla pan, że projekty nie kończą się na publikacjach. W którym momencie badań pojawia się realna szansa na patent?

Patent służy zabezpieczeniu opracowanego rozwiązania, tak aby można je było dalej rozwijać i potencjalnie wykorzystywać komercyjnie bez ryzyka jego prostego skopiowania. Nieprzypadkowo mówi się przecież o ochronie własności intelektualnej. Dlatego od lat, analizując różne procesy i wyniki badań, równolegle zwracamy uwagę na możliwość ich ochrony patentowej.

To podejście ma u nas wieloletnią tradycję, prof. Marciniec często pytał: „A czy da się to opatentować?”. Dziś jest to naturalny element pracy zespołu: jeśli pojawia się nowe rozwiązanie, analizujemy jego nowość i zasadność zgłoszenia patentowego.

W praktyce moment, w którym zauważamy realną szansę na patent, wiąże się z uzyskaniem powtarzalnych i dobrze udokumentowanych wyników, które wskazują nowe rozwiązanie o potencjale aplikacyjnym. Na tym etapie rozpoczyna się szczegółowa analiza stanu techniki oraz przygotowanie koncepcji zgłoszenia. Przygotowanie zgłoszeń patentowych stanowi integralną część pracy badawczej i w dużej mierze jest realizowane przez osoby prowadzące konkretne projekty. Wymaga to bardzo precyzyjnej analizy literatury i baz patentowych, odpowiedniego zdefiniowania zakresu ochrony oraz przełożenia wyników badań na język formalny zgłoszenia. Procedura patentowa jest znacznie bardziej wymagająca niż publikacja naukowa. Urząd Patentowy analizuje zgłoszenie przez długi czas i bardzo szczegółowo weryfikuje jego nowość. Otrzymujemy raporty, wskazania podobnych rozwiązań, a czasem również próby podważenia naszej argumentacji; jest to realny test tego, na ile opracowane rozwiązanie jest rzeczywiście innowacyjne.

Pamiętam sytuację, kiedy jeden z magistrantów umieścił pewne wyniki na posterze konferencyjnym. Materiały zostały później opublikowane i Urząd Patentowy odmówił przyznania patentu, ponieważ rozwiązanie zostało już wcześniej ujawnione. Dlatego tak ważne jest zachowanie odpowiedniej kolejności działań. W tym procesie istotna jest również współpraca z Uczelnianym Centrum Innowacji i Transferu Technologii, które wspiera zespół na etapie formalnym i organizacyjnym. Uważam tę współpracę za bardzo efektywną.

Co jest dziś największą barierą w przejściu od wyniku laboratoryjnego do wdrożenia przemysłowego?

To bardzo złożony problem, ale jednym z istotnych wyzwań w obszarze transferu technologii jest wciąż ograniczona liczba partnerów przemysłowych, którzy prowadzą długofalowe prace badawczo-rozwojowe i rozwijają własne technologie. Polska gospodarka dysponuje dużym potencjałem produkcyjnym, jednak wiele firm koncentruje się przede wszystkim na skalowaniu istniejących rozwiązań. Oznacza to, że przejście od wyników badań do ich dalszego rozwoju technologicznego bywa utrudnione.

Tymczasem skuteczny transfer technologii wymaga ścisłej współpracy nauki z przemysłem oraz partnerów gotowych inwestować w rozwój, testowanie i wdrażanie nowych rozwiązań. Jest to proces długotrwały, kosztowny i obciążony ryzykiem, dlatego istotne jest budowanie trwałych relacji oraz wzajemnego zaufania między zespołami badawczymi a przedsiębiorstwami.

Dodatkowym wyzwaniem jest szeroki zakres oczekiwań wobec naukowców. Oprócz prowadzenia badań obejmują one pozyskiwanie finansowania, publikowanie wyników, ochronę własności intelektualnej oraz działania związane z komercjalizacją. W praktyce wymaga to nie tylko kompetencji naukowych, ale odpowiednich warunków organizacyjnych oraz wsparcia instytucjonalnego. ■



Zespół Instytutu Biologii Molekularnej i Biotechnologii (IBMiB) UAM w Poznaniu wraz z dyrektorem, prof. Piotrem Ziółkowskim

GEN DOSKONAŁOŚCI

Profesor Piotr Ziółkowski od niedawna szefuje Instytutowi Biologii Molekularnej i Biotechnologii, który przewodzi w UAM pod względem liczby projektów i środków pozyskanych na badania.

ROZMAWIA Z NIM KRZYSZTOF SMURA

Nowy szef zawsze kojarzy się ze zmianami. Jak jest w pana przypadku, jakie są pana priorytety?

Wynikają one w dużej mierze z tego, co instytut zdefiniował przed laty jako swoją misję: dążenie do doskonałości naukowej, międzynarodowej konkurencyjności oraz rozwoju młodych naukowców, aby przyczynić się do postępu w ochronie zdrowia i rolnictwie. Tę wizję chcę realizować poprzez kilka konkretnych działań. Po pierwsze, przez wzmocnienie jakości naszego dorobku publikacyjnego – z przesunięciem akcentu z liczby na jakość i większą skuteczność w publikowaniu w czołowych czasopiśmie. Po drugie, przez aktualizację i doprecyzowanie priorytetowych obszarów badawczych, tak aby były one zgodne z najszybciej rozwijającymi się kierunkami i budowały rozpoznawalny profil instytutu. Będzie to



częściowo realizowane przez tworzenie nowych grup badawczych i przyciąganie talentów.

Po trzecie, chciałbym położyć też nacisk na rozwój nowoczesnych technologii i infrastruktury badawczej, bo bez tego nie da się dziś konkurować na najwyższym poziomie. Chcę dalej wzmacniać model, w którym aparatura i zasoby są intensywnie wykorzystywane przez zespoły, wspierane przez dobre zasady dostępu i szkolenia.

Równolegle zależy mi na systemowym wspieraniu ludzi i umiędzynarodowieniu: rozwoju młodych naukowców przez mentoring i wspieraniu budowania ich niezależności naukowej oraz wzmacnianiu współpracy międzynarodowej i konsorcjów grantowych. Kluczowe będzie też aktywne pozyskiwanie finansowania i wsparcie procesu grantowego, tak aby nasze ambitne cele miały stabilne zaplecze.



W trakcie kariery naukowej prowadził pan badania m.in. w Cambridge i Manchesterze – jak te doświadczenia będą wpływać na zarządzanie instytutem? Skorzysta pan z nich?

Moje staże podoktorskie, zwłaszcza czteroletni na Uniwersytecie Cambridge, pozwoliły mi spojrzeć na funkcjonowanie znakomitych uczelni badawczych od wewnątrz i co za tym idzie, w jakimś stopniu zrozumieć, skąd bierze się ich międzynarodowy sukces. W porównaniu do jednostek naukowych w Polsce rzuca się w oczy duża dynamika zespołów badawczych i częstsza wymiana w zespołach, w których w zasadzie jedynie szef zespołu – czyli PI – ma względnie stałą pozycję, natomiast pozostali członkowie są zatrudniani w grantach. Dynamika zespołów bierze się także z częstego powstawania nowych grup badawczych. Odbywa się to przez organizowanie otwartych konkursów na lidera grupy, który z założenia ma przynieść nową tematykę, najczęściej opierając się na unikalnej ekspertyzje zdobytej w innych jednostkach naukowych podczas stażów podoktorskich. Taki nowy lider ma kilka lat, by pokazać, że jest w stanie osiągnąć produktywność na odpowiednim poziomie naukowym i od jego powodzenia w tym okresie zależy dalsze przedłużenie zatrudnienia. Taki sposób powstawania nowych grup inicjuje niezbędną dla rozwoju wymianę myśli naukowej i stymulację powstawania nowych przestrzeni do dyskusji, ścierania poglądów, ale i współpracy, kształtując wciąż na nowo profil funkcjonowania danej instytucji. Szczęśliwie, podobna strategia była w pewnym zakresie realizowana również w IBMiB i z całą pewnością będę ją kontynuował.

Myślę też, że skorzystam z doświadczeń związanych z akcjami mającymi na celu większą integrację instytutu. W Cambridge raz do roku odbywały się tzw. Departmental Days, podczas których szefowie grup przedstawiali swoje badania i całość obejmowała również część integracyjną ze wspólnym posiłkiem. To

pozwalало lepiej zorientować się, co dzieje się w departamencie, spozycjonować się w stosunku do innych zespołów, a czasami też zainicjować współpracę.

Jak pan ocenia dzisiaj umiędzynarodowienie instytutu i co pana zdaniem wyróżnia IBMiB na tle innych ośrodków biologii molekularnej w Polsce?

IBMiB to ok. 20 niezależnych grup badawczych, z których ponad połowa powstała dzięki naukowcom, którzy swoją karierę naukową rozpoczynali bądź w innych krajach, bądź w innych instytucjach krajowych. Praktycznie każdy z naszych liderów odbył długoterminowe zagraniczne staże naukowe, a trzy z tych grup są prowadzone przez obcokrajowców, którzy rozwijali się naukowo całkowicie poza Polską. To jest olbrzymi potencjał, pozwalający patrzeć na naukę z perspektywy międzynarodowej i w takiej perspektywie lokować swoje badania. Przekłada się to bezpośrednio na poziom prowadzonych przez nas badań: z naszych zespołów rutynowo wychodzą publikacje w czołowych czasopiśmie naukowych, w ostatnim czasie zwłaszcza z grupy „Nature”, a nasi liderzy z powodzeniem zdobywają najbardziej prestiżowe granty krajowe i międzynarodowe, jak choćby granty ERC **prof. UAM Kingi Gduli** czy ostatnio MAB FENG **prof. Krzysztofa Sobczaka**. Gdyby na podstawie naszych osiągnięć publikacyjnych i grantowych zrobić ranking ośrodków naukowych w zakresie biologii molekularnej w Polsce, zwłaszcza w gronie jednostek uczelnianych, czyli takich, które poza pracą badawczą są mocno zaangażowane również w prowadzenie dydaktyki, znaleźlibyśmy się w ścisłej czołówce, jeśli nie na pierwszym miejscu.

Przed naszą rozmową przejrzałem statystyki dotyczące grantów w IBMiB – na dziś zespoły z naszego instytutu realizują 46 grantów ze źródeł zewnętrznych na łączną sumę ponad 130 mln zł. To stawia IBMiB na pierwszym miejscu na UAM zarówno pod

względem liczby projektów, jak i ich wielkości. Granty oczywiście nie są celem samym w sobie, tylko środkami do prowadzenia badań – ale myślę, że dość dobrze ilustrują potencjał naszego instytutu. Na przykład IBMiB ze źródeł ogólnouczeniowych zatrudnia tylko ok. 40 nauczycieli akademickich, podczas gdy kolejnych 20 badaczy ze stopniem doktora finansowanych jest właśnie ze środków projektowych. Również znaczna część z naszych 50 doktorantów dofinansowywana jest ze stypendiów projektowych.

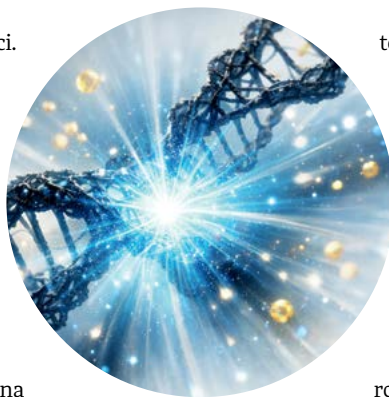
Unikalność IBMiB przejawia się też wyjątkową dynamiką powstawania nowych zespołów i poszerzania spektrum kierunków badawczych, co jest w dużej mierze zasługą wcześniejszych dyrektorów, zwłaszcza **prof. Zofii Szweykowskiej-Kulińskiej**.

Innym elementem, który wyróżnia IBMiB, jest unikalna infrastruktura badawcza, szczególnie w zakresie nowoczesnych technik mikroskopowych. Wiele lat temu, chcąc zyskać większą niezależność i szeroką dostępność do zaawansowanej aparatury mikroskopowej, zaczęliśmy inwestować w tego typu sprzęt. Czas pokazał, że była to mądra decyzja, gdyż dzięki postępowi technologicznemu w tej dziedzinie wiele nowoczesnych badań molekularnych nie może dziś być prowadzonych bez zaawansowanej mikroskopii. W najbliższym czasie nasza platforma mikroskopowa jeszcze bardziej się rozwinie dzięki pozyskanemu właśnie przez **dr Annę Kasprowicz-Maluśki** projektowi konsorcyjnemu OMNIPLANT.

Ale instytut to przede wszystkim ludzie, a IBMiB zawsze charakteryzował się wyjątkową atmosferą pracy, opartą na autentycznej chęci wspólnego rozwoju. Ta atmosfera przejawia się w gotowości do pomocy innym, udostępnianiem w razie potrzeby odczynników czy w swobodnym dostępie do aparatury w poszczególnych laboratoriach. W przeszłości niejednokrotnie zwracałem się do bardziej doświadczonych pracowników z prośbą o poradę przy projektowaniu badań, przygotowywaniu aplikacji grantowej czy publikacji. Czasami to było po prostu dobre słowo, na które zawsze można liczyć w instytucie. Przez lata pracy w IBMiB nie spotkałem się z poważniejszymi nieporozumieniami i zawsze udawało się znajdować kompromis. To sprawia, że do IBMiB zawsze wracałem z radością i mam nadzieję, że taką atmosferę uda się kultywować także w przyszłości.

Instytut bardziej stawia dziś na badania podstawowe czy aplikacyjne – i dlaczego?

Dziś instytut zdecydowanie mocniej stawia na badania podstawowe – bo jako jednostka uniwersytecka mamy przede wszystkim tworzyć nową wiedzę i kształcić kolejne pokolenie naukowców. W praktyce oznacza



to koncentrację na pytaniach mechanistycznych i projektach, które mają realny potencjał przesuwania granic rozumienia procesów biologicznych, a nie na pracach przyczynkowych.

Jednocześnie nie przeciwstawiamy badań podstawowych i aplikacyjnych. Traktujemy aplikacje jako naturalny kolejny krok, gdy wiedza mechanistyczna i narzędzia dojrzejają do walidacji przedklinicznej czy rozwoju nowych technologii. Dobrym przykładem jest wspomniany już projekt MAB FENG prof. Sobczaka: jego celem jest stworzenie platformy badawczej do opracowania strategii terapeutycznych dla czterech chorób neurologicznych powodowanych ekspansją powtórzeń nukleotydowych, m.in. poprzez budowę dobrze scharakteryzowanych modeli przedklinicznych, identyfikację biomarkerów oraz testowanie związków aktywnych i krótkich terapeutycznych analogów kwasów nukleinowych, celujących w toksyczne RNA będące wspólnym elementem patomechanizmu tych chorób.

Podsumowując: badania podstawowe są naszym punktem wyjścia, a translacja – gdy jest uzasadniona naukowo – jest świadomie rozwijanym kierunkiem, bez kompromisu dla jakości badań.

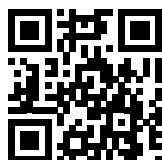
Jak przyciągnąć młodych naukowców do pracy w Polsce i co jest dziś największym wyzwaniem w budowaniu silnych zespołów badawczych?

Tylko poprzez stworzenie konkurencyjnych warunków pracy możemy przyciągnąć do Polski młodych naukowców. Na poziom wynagrodzeń niestety nie mamy bezpośredniego wpływu, dlatego kluczowym narzędziem pozostaje budowanie doskonałości naukowej. Wielu ambitnych badaczy kieruje się przede wszystkim renomą instytucji: zwraca uwagę na jakość środowiska naukowego, dynamikę jego rozwoju oraz dostępność nowoczesnej infrastruktury badawczej.

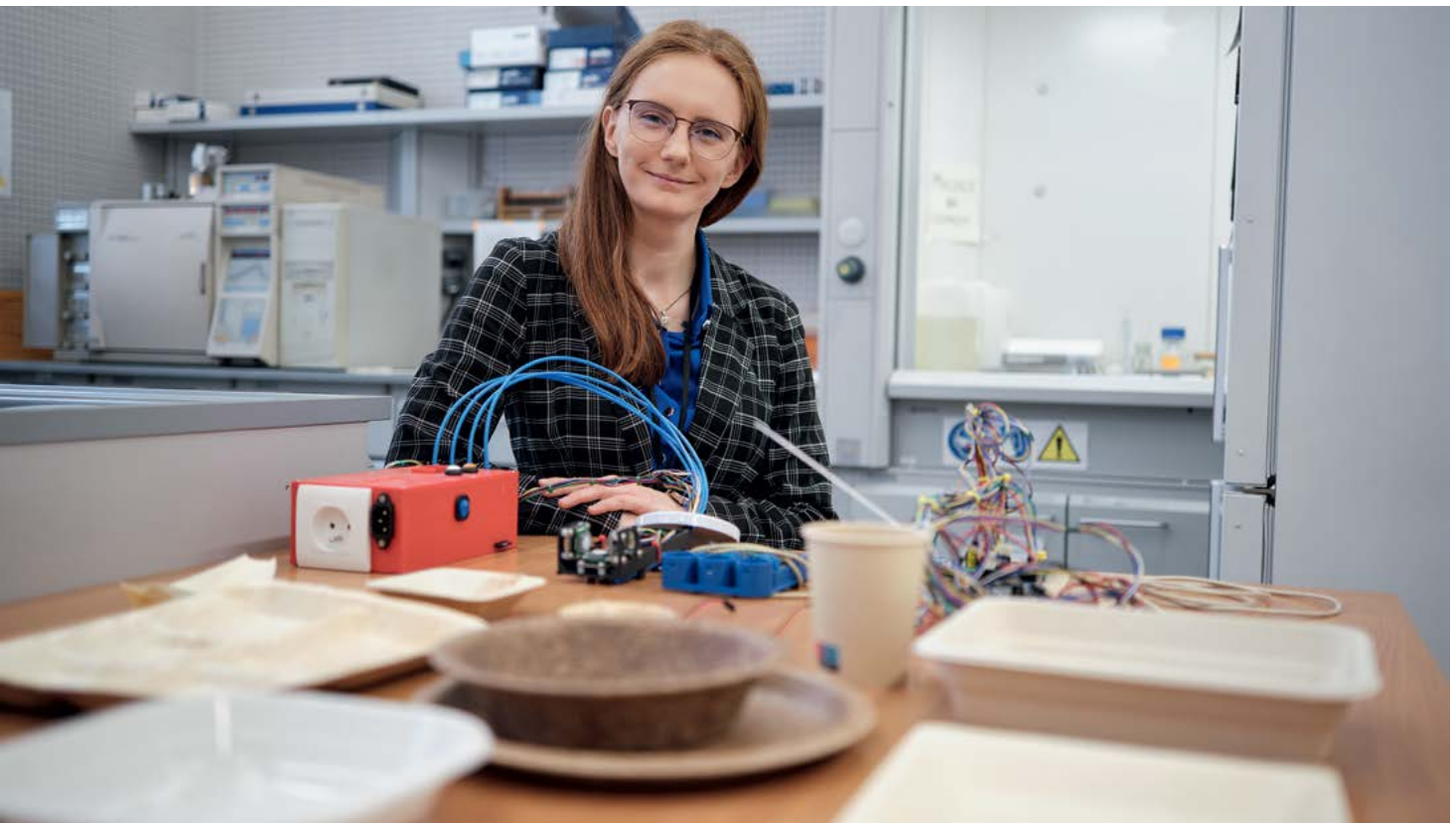
Właśnie dlatego tak duże znaczenie przypisuję obecności IBMiB w mediach społecznościowych oraz innych kanałach komunikacji. Bez pewnego rodzaju „szumu medialnego” trudno zaistnieć szerzej w świadomości środowiska naukowego, a jest to niezbędne, aby znaleźć się w kręgu zainteresowania młodych, ambitnych badaczy. Równoległe będziemy podejmować także inne działania służące przyciąganiu nowych talentów, m.in. organizację konferencji czy zapraszanie do instytutu zagranicznych prelegentów na seminaria.

Jakie kompetencje będą pana zdaniem kluczowe dla biologów przyszłości?

Rozległa wiedza biologiczna, kompetencje analityczne, znajomość najnowszych technologii, krytyczne myślenie, współpraca interdyscyplinarna... ■



WIĘCEJ
uniwersyteckie.pl



EKO NIE ZAWSZE ZNACZY BEZPIECZNIE

Biodegradowalne naczynia i opakowania mają zastąpić plastik, jednak ich wpływ na żywność nadal wymaga dokładnych badań. **Doktor inż. Karolina Brończyk** z Wydziału Chemii UAM sprawdza, jakie substancje mogą przenikać z ekologicznych materiałów do żywności i czy pozostają one bezpieczne dla konsumentów. Z badaczką

ROZMAWIA **MAGDA ZIÓŁEK**

Jednorazowe naczynia ekologiczne kojarzą się z bezpieczeństwem i troską o środowisko. Pani badania pokazują, że sytuacja jest znacznie bardziej złożona. Czy to panią zaskoczyło?

Może zacznę od tego, że do wyboru tej tematyki badań zainspirowała mnie unijna dyrektywa ograniczająca stosowanie jednorazowych tworzyw sztucznych. Była ona odpowiedzią na kryzys środowiskowy i problem nadmiernego wykorzystania ropopochodnych tworzyw sztucznych, szczególnie produktów jednorazowego użytku. W efekcie na rynku zaczęło pojawiać

się coraz więcej alternatywnych materiałów spełniających ideę zrównoważonego rozwoju.

W swoich badaniach skupiłam się właśnie na takich wyrobach dopuszczonych do obrotu jako materiały do kontaktu z żywnością. Analizowałam nowe produkty, wprowadzane jako alternatywa dla tradycyjnych tworzyw sztucznych, a nie opakowania, które miały już wcześniej kontakt z żywnością.

Pierwszą rzeczą, która mnie zaskoczyła, była ogromna różnorodność tych materiałów. Nie były to wyłącznie surowce

pochodzenia roślinnego, takie jak otręby pszenne, liście palmowe czy bambus, ale także materiały częściowo przetworzone: różnego rodzaju bioplastyki, m.in. polilaktyd czy szeroka gama materiałów skrobiowych. Dużym wyzwaniem badawczym okazało się więc uporządkowanie tej różnorodności oraz opracowanie odpowiednich metod analitycznych pozwalających ocenić zarówno bezpieczeństwo tych materiałów, jak i ich wpływ na jakość żywności.

Pani praca doktorska została wyróżniona m.in. ze względu na nowatorskie metody analityczne. Na czym polegała ich innowacyjność?

Nowatorstwo moich badań polegało przede wszystkim na połączeniu wielu metod analitycznych i statystycznych do kompleksowej oceny bezpieczeństwa nowoczesnych materiałów przeznaczonych do kontaktu z żywnością.

Badania rozpoczęłam od analiz nieukierunkowanych, które pozwoliły określić, jakie związki najłatwiej migrują z materiałów do żywności i które z nich warto monitorować pod kątem bezpieczeństwa. Wykorzystałam do tego metody statystyczne, m.in. analizę głównych składowych oraz analizę hierarchiczną. Dzięki temu mogłam wytypować tzw. związki markerowe, charakterystyczne dla konkretnych materiałów.

W kolejnym etapie przeprowadziłam analizy ukierunkowane, w których wykorzystałam wiele różnych metod analitycznych, m.in. chromatografię gazową i wysokosprawną chromatografię cieczową w układzie z różnymi detektorami, olfaktometrię oraz spektrometrię mas. Umożliwiło to monitorowanie zanieczyszczeń pochodzenia organicznego i nieorganicznego na śladowym poziomie stężeń, które mogą być uwalniane z ekomateriałów do żywności i w konsekwencji obniżać jej jakość i profil sensoryczny. Do jednych z nich należą związki hormonalnie aktywne, takie jak związki z grupy bisfenoli i benzofenonów, a także pierwiastki potencjalnie toksyczne, m.in. kadm, ołów i glin. Szczególnie ważnymi markerami interakcji materiał – żywność są również związki karbonylowe, zwłaszcza formaldehyd – substancja powszechnie uznawana za rakotwórczą i mutagenną.

Skąd właściwie bierze się formaldehyd w materiałach uznawanych za ekologiczne i co wpływa na jego przenikanie do żywności?

Moje badania pokazały, że poszczególne surowce różnią się pod względem poziomu uwalniania formaldehydu, jednak w żadnym przypadku nie zostały przekroczone dopuszczalne limity migracji. Pod tym względem analizowane materiały można więc uznać za bezpieczne.

Różnice w poziomie migracji związków karbonylowych, w tym formaldehydu, wynikają przede wszystkim z rodzaju materiału oraz stopnia jego przetworzenia. W przypadku materiałów roślinnych formaldehyd może występować naturalnie jako metabolit wtórny roślin, powstający m.in. w odpowiedzi na stres środowiskowy, uszkodzenia mechaniczne czy działanie pasożytów.



Dodatkowym źródłem formaldehydu mogą być także powłoki ochronne stosowane podczas produkcji opakowań. Materiały roślinne często wymagają wzmocnienia lub utrwalenia odpowiedniego kształtu, dlatego wykorzystuje się różnego rodzaju substancje o charakterze polimerowym. Pod wpływem wysokiej temperatury mogą one ulegać degradacji termicznej, a jednym z produktów tego procesu jest właśnie niskocząsteczkowy formaldehyd.

Jeśli chodzi o czynniki wpływające na przenikanie formaldehydu do żywności, to oprócz rodzaju materiału można również wymienić rodzaj żywności: żywność kwaśna (np. zupy warzywne) może być bardziej zanieczyszczona związkami karbonylowymi niż żywność neutralna (np. wody mineralne niegazowane), co wynika z wpływu pH żywności na stabilność związków. Ponadto ważny jest także sposób obchodzenia się z żywnością, tzn. czas i temperatura kontaktu w układzie materiał – żywność, jak również właściwości fizykochemiczne substancji migrującej.

Pokazuje to, że migracja substancji z materiałów do żywności jest procesem złożonym, zależnym od wielu współdziałających czynników, które wpływają zarówno na dynamikę uwalniania związków, jak i skalę ich przenikania do żywności.

Czyli naczynie może początkowo mieścić się w dopuszczalnych limitach migracji formaldehydu, ale pod wpływem podgrzewania, np. w kuchence mikrofalowej, poziom uwalniania tego związku może wzrastać?

Tak, w przypadku materiałów deklarowanych przez producentów jako przeznaczone do stosowania w kuchenkach mikrofalowych moje badania wyraźnie pokazują, że na poziom migracji substancji wpływa wiele czynników. Znaczenie ma nie tylko czas podgrzewania, ale również długość przechowywania żywności, np. w warunkach chłodniczych. Poziom uwalnianych związków może różnić się po 12 godzinach przechowywania, po dobie czy po tygodniu. Oznacza to, że sposób i warunki użytkowania materiału mają istotny wpływ na ilość substancji przenikających do żywności.

A czy prawidłowo użytkowane naczynia ekologiczne mogą wpływać na smak i aromat przechowywanej lub podawanej w nich żywności?

Tak, zdecydowanie. Z perspektywy pracy analitycznej były to dla mnie jedne z najciekawszych badań. Realizowałam je we współpracy z Uniwersytetem Przyrodniczym w Poznaniu. Jak się okazało, tego typu analizy są bardzo pracochłonne, wymagają nie tylko doświadczenia, ale także dużej wrażliwości sensorycznej.

Ocena zapachu i smaku jest w pewnym stopniu subiektywna, ponieważ zależy m.in. od indywidualnej wrażliwości zmysłu węchu. Dlatego badania prowadziliśmy zarówno z wykorzystaniem klasycznych analiz sensorycznych, jak i metod instrumentalnych, m.in. chromatografii gazowej sprzężonej z olfaktometrią.

Zależało mi również na tym, aby badania miały praktyczny wymiar i odnosiły się do codziennych doświadczeń konsumentów. Najpierw analizowałam profile lotnych związków samych materiałów, np. papieru czy otrębów pszennych, aby sprawdzić, jakimi cechami sensorycznymi się charakteryzują. Następnie w badanych naczyniach zaparzałam kawę i herbatę, a po 30 minutach analizowałam, jakie związki przenikają do napojów i w jaki sposób wpływają na ich smak oraz aromat.

Wyniki pokazały, że materiały te mogą wyraźnie wpływać na właściwości sensoryczne żywności i napojów. Myślę, że wiele osób zna z codziennego doświadczenia sytuację, w której napój podawany w papierowym lub drewnianym opakowaniu ma wyczuwalne obce nuty zapachowe. Co ciekawe, w badaniach sensorycznych ta sama kawa podana w kubku papierowym była oceniana jako mniej aromatyczna niż podana w naczyniu szklanym.

Prawdopodobnie wynika to z właściwości samego materiału. Może on nie tylko uwalniać do napoju związki wpływające na jego smak i zapach, ale również pochłaniać część pożądaných aromatów. W praktyce oznacza to, że interakcje między materiałem a żywnością mogą zmieniać odbiór sensoryczny produktu. Warto zauważyć, że nie zawsze musi to mieć negatywny charakter. W części badań, np. podczas serwowania ryżu na talerzach wykonanych z otrębów pszennych, uczestnicy oceniali delikatne nuty zbożowe jako przyjemne i nadające produktowi większą wyrazistość. Niemniej jednak zdecydowanie częściej pojawiały się nuty określane jako drewniane, stęchłe, zielone czy trawiaste, które zaburzały pożądaný smak i aromat żywności i napojów.

Po tym wszystkim, co usłyszałam, zastanawiam się, jakich opakowań używa pani na co dzień?

To pytanie rzeczywiście bardzo często pojawia się podczas konferencji czy rozmów po wykładach. Generalnie korzystam z produktów powszechnie dostępnych i używanych przez konsumentów. Z własnego doświadczenia wiem jednak, że szkło i porcelana należą do materiałów najbardziej obojętnych pod względem oddziaływania z żywnością oraz uwalniania różnych substancji. Myślę, że wiele osób dostrzega to również w codziennym życiu – choćby w przypadku wody przechowywanej w plastiku i w szkle, która często jest odbierana zupełnie inaczej pod względem smaku, mimo że pochodzi od tego samego producenta.

W tym miejscu należy wyraźnie podkreślić, że nie oznacza to, że materiały biodegradowalne czy nadające się do recyklingu należy całkowicie wykluczyć. Wręcz przeciwnie – będą one odgrywać coraz większą rolę, ponieważ wpisują się w założenia zrównoważonego rozwoju ze względu na konieczność ograniczenia zużycia ropopochodnych tworzyw sztucznych. Tego procesu nie da się już zatrzymać i materiały alternatywne z pewnością pozostaną obecne również w sektorze związanym z żywnością.

Obecnie pracuje pani nad urządzeniem, które ma umożliwić szybką ocenę bezpieczeństwa takich naczyń czy opakowań. Na czym polega ten projekt?

W 2024 r. udało mi się uzyskać finansowanie Narodowego Centrum Nauki w konkursie PRELUDIUM, co uważam za jeden ze swoich większych sukcesów naukowych. W ramach projektu opracowujemy szybką metodę pozwalającą w precyzyjny sposób klasyfikować materiały przeznaczone do kontaktu z żywnością pod kątem ich bezpieczeństwa. Nie chodzi przy tym o prosty podział na materiały roślinne czy bioplastiki, ale raczej o ocenę, które z nich można uznać za bardziej bezpieczne, a które wymagają większej kontroli. W ramach projektu konstruujemy specjalne platformy wyposażone w czujniki elektrochemiczne, które mają umożliwić szybką ocenę badanych materiałów.

Jednym z największych wyzwań związanych z tego typu czujnikami jest tzw. czułość krzyżowa. Dla przykładu formaldehyd i acetaldehyd mają bardzo podobną budowę chemiczną. Zaawansowane metody chromatograficzne pozwalają precyzyjnie rozróżnić oba związki i określić ich stężenia, natomiast czujniki elektrochemiczne często reagują jednocześnie na kilka substancji o podobnej strukturze. Dlatego prowadzimy wieloetapowe procesy kalibracyjne, których celem jest zwiększenie precyzji działania czujników oraz dobranie takich układów pomiarowych, które najlepiej pozwolą różnicować materiały pod względem bezpieczeństwa. Do analizy dużych ilości danych pozyskiwanych z czujników w ujęciu czasowym zaczynamy wykorzystywać metody sztucznej inteligencji, w szczególności uczenia maszynowego.

Docelowo chcielibyśmy stworzyć niskokosztowe urządzenie umożliwiające przeprowadzenie oceny bezpieczeństwa opakowania lub naczynia na podstawie analizy danych pochodzących z czujników elektrochemicznych.



WIĘCEJ
uniwersyteckie.pl

„MIRABELKI”

Z **prof. Rafałem Wójcikiem**,
zastępcą dyrektora BUP,
i **mgr Karoliną Tomczyk-Kozioł**,
kierowniczką Oddziału Zbiorów
Specjalnych, rozmawiamy na temat
Mirabilium Collectio – niezwyklej
platformy cyfrowej, znakomicie
wzbogacającej ofertę badawczą
poznańskiej jednostki.

ROZMAWIA KRZYSZTOF SMURA

Powstanie „Mirabelek”, jak pracownicy pieszczotliwie nazywają nową platformę, to ogromna praca wszystkich zespołów BUP i to w oszalałym tempie. Efekt?

Prof. Rafał Wójcik: – W ciągu dwóch lat pracownicy wykonali ponad ćwierć miliona skanów, czyli robili ok. 517 skanów dziennie, co daje 64 skany na godzinę. Liczba wszystkich obiektów wciąż rośnie.

Dwa lata, a przecież chcieliście przystąpić do działań znacznie wcześniej...

– I co więcej, początkowo zakładaliśmy, że zajmie nam to pięć lat. Pomysł narodził się jeszcze przed pandemią, w roku 2019. Gdy pojawiła się możliwość starania się o środki, stworzyliśmy pierwszy prototyp projektu. Niestety, z powodów formalnych nasz projekt wtedy nie przeszedł. Ponownie próbowaliśmy pozyskać środki w 2021 roku, tym razem już na trzyletni projekt, i znów się nie udało. Znowu z powodów formalnych, a nie merytorycznych. Mówi się, że do trzech razy sztuka, i w naszym przypadku ta „magiczna formuła” zadziałała, a znacząco pomógł nam **prof. Tadeusz Wallas**, bez którego pomocy i życzliwości byłoby to bardzo trudne.

To była potrzeba chwili?

– Pomysł wziął się z dwóch powodów. Po pierwsze, nasze zbiory od samego początku, tj. od 2002 r., znajdowały się w Wielkopolskiej Bibliotece Cyfrowej. Dziś są to miliony skanów, które się



cyfrowo zestarzały. WBC była prototypem i jest dziś najstarszą polską biblioteką cyfrową, która odegrała ogromną rolę, jeśli chodzi o cyfryzację zbiorów w Polsce. Dostrzegliśmy jednak już wtedy, że najwyższy czas prezentować nasze zbiory specjalne nie tylko w formie skanów, ale także spróbować udostępniać je w nowoczesnej formie, wykorzystując pliki w różnych formatach, w tym w IIIF, absolutnym współczesnym standardzie, dekskryptory Biblioteki Narodowej, a także połączenia i linkowania pomiędzy bazami, oraz opatrując dane bardzo szczegółowymi metadanymi, które zazwyczaj nie są zamieszczane w bibliotekach cyfrowych. Słowem, chcieliśmy wykorzystać wszelkie możliwe sposoby tzw. interoperacyjności, czyli łączenia naszej platformy cyfrowej z innymi światowymi zasobami.

Był jeszcze jeden powód. Niemal każda pracownia prowadziła własne badania nad zbiorami i miała swoje bazy danych. Były to bazy wewnętrzne i bardzo nam zależało na stworzeniu narzędzi, które nie byłyby prostymi arkuszami kalkulacyjnymi. Chcieliśmy zbudować profesjonalną bazę danych, w której nasi pracownicy mogliby zamieszczać interesujące informacje – takie, które mogłyby być wykorzystywane zarówno przez innych bibliotekarzy, jak i – przede wszystkim – przez badaczy. To, co zamieszczamy na naszej platformie cyfrowej, to nie tylko skany, ale przede wszystkim metadane do dalszego wykorzystywania i analizowania. Najlepszym tego przykładem jest nasz Geoportal Historyczny, z którego można korzystać w zależności od stopnia zaawansowania użytkownika.

Krótki okres badawczy sprawił, że potrzebne było „pospolite ruszenie”?

Karolina Tomczyk-Kozioł: – Nie inaczej. Zbiory specjalne to spory oddział, który składa się z dziesięciu pracowni. Każda z nich kumuluje w swoim środowisku wszystkie zadania biblioteczne kojarzące się z działalnością biblioteki. Gromadzi i udostępnia zbiory, opracowuje je, popularyzuje, dba o ich konserwację itd. Największą trudnością było to, aby na jednej platformie właściwie zaprezentować każdy z tych zbiorów. Chodziło o to, żebyśmy, wpisując hasło do wyszukiwarki, znajdowali pod tymi samymi atrybutami i w tych samych filtrach te same dane.

To wymagało precyzji w każdym calu...

– Działaliśmy według harmonogramu, dostarczając materiały z poszczególnych pracowni grupie digitalizującej zbiory, i rozliczaliśmy się z poszczególnych skanów.

Ile było tych osób?

– Trzy.

Trzy osoby przy tak wielkim projekcie?

– Tak, pracy było mnóstwo. Byliśmy podzieleni na zespoły. Digitalizacja wykonywała skany, a opiekunowie zbiorów przygotowywali metadane. Postawiliśmy na jakość opisów – metadane niektórych kolekcji są znacznie bardziej rozbudowane niż te widoczne w katalogu online. Tam ograniczał nas bowiem formularz MARC21. Na platformie mieliśmy możliwość rozszerzenia listy atrybutów, czyli elementów opisu, które są kluczowe w katalogowaniu, wyszukiwaniu i nawigacji po zbiorach.

Informatycy pomogli?

R.W.: – Pracowaliśmy razem z informatykami z PCSS. To nie było łatwe, bo chcieliśmy stworzyć coś zupełnie nowego, a nie standardowego. Początkowo mówiliśmy „różnymi językami”, ale z czasem stało się jasne, że pracujemy nad projektem, który dorównuje najlepszym, a nawet jest bardziej innowacyjny. Wystarczy spojrzeć na stronę mirabilia.amu.edu.pl/, by się o tym przekonać.

Uważam także, że jesteśmy dziś dopiero na początku drogi, która zaprowadzi nas w zupełnie nieznanne rejony...

Początek?

– Teraz będziemy systematycznie napełniać platformę skanami i danymi, ale naszym pragnieniem jest również rozwijanie jej pod kątem nowoczesnej cyfryzacji zbiorów i wykorzystywania dokonań humanistyki cyfrowej. To kierunek, w którym chcemy podążać.

K.T.K.: – Dodam jeszcze, że każda pracownia starała się, aby pierwsze obiekty prezentowane w „Mirabelkach”

były tymi wyjątkowymi i poszukiwanymi przez badaczy. Monitorujemy odbiór naszych zasobów, dzięki czemu wiemy, co jest w nich najbardziej interesujące dla odbiorców. Przykładowo Pracownia Rękopisów wybrała do „Mirabelek” sztambuchy niezwykle atrakcyjne wizualnie. Pracownia DŻS zaprezentowała telegramy kościuszkowskie, a Pracownia Zbiorów Masońskich zdecydowała o publikacji 200 starych druków z Wielkiej Łoży Hamburga – takich, które nie były jeszcze nigdzie udostępniane...

R.W.: – Warto też wspomnieć o Pracowni Komiksów. Są tam trzy bazy, w których udostępniamy skany najstarszych polskich komiksów prasowych. Niestety, mimo że posiadamy największą kolekcję komiksów w Polsce, nie możemy ich wszystkich zamieścić online ze względu na prawa autorskie.

Czy przewiduje się migrację danych z WBC do „Mirabelek”?

R.W.: – Tak. Nie wszystkich, ale części z pewnością. Przede wszystkim chcemy jednak linkować do już istniejących zasobów, np. z bibliografii druków wielkopolskich do już istniejących zasobów w sieci. Będziemy też ulepszać skany w WBC. Cały czas się rozwijamy i – nawiązując do wiedzy o potrzebach czytelników, o których wspomniała moja koleżanka – zachęcam do korzystania z przycisku „Zgłoś uwagę” na stronie naszej platformy, gdzie można zgłaszać zauważone błędy, proponować nowe rozwiązania czy kierunki rozwoju itp. Jesteśmy otwarci na wszelkie sugestie, nawet „kosmiczne”. Rozwój AI sprawia, że postęp niesamowicie przyspieszył i to, co dziś wydaje się nam niedosięglym kosmosem, za dwa lata może być już standardowym rozwiązaniem. Chcemy nadążać za zmianami. ■

A ZBIORY WCIĄŻ ROSNĄ

Mirabilium Collectio zawiera dziś m.in.: 38 rękopiśmiennych sztambuchów, 101 szesnastowiecznych starych druków z księgozbioru poznańskiego Kolegium Jezuitów, 29 pierwszych opisów proveniencyjnych i ich fotografii, ponad tysiąc pocztówek dawnego Poznania, 226 najstarszych map i planów Poznania, 278 obiektów w Geoportalu Historycznym, 38 niezwykle cennych muzykaliów z kolekcji Maltzanów z Milicza, 1022 dokumenty życia społecznego (telegramy kościuszkowskie), cenne masonica, w tym 221 starych druków z Wielkiej Łoży Hamburga, niemal 4800 rekordów bibliograficznych w Polskiej Bibliografii Wiedzy o Komiksie...



MIASTO MÓWI MURALAMI



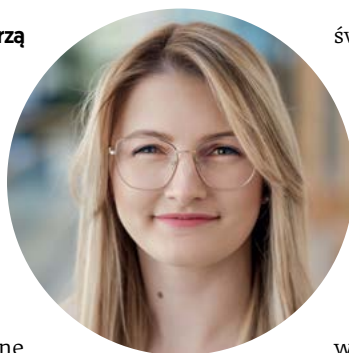
Murale coraz częściej stają się czymś więcej niż tylko dekoracją przestrzeni – wpływają na tożsamość mieszkańców, wizerunek miasta i sposób korzystania z miejskiej przestrzeni. O społecznym i kulturowym potencjale sztuki publicznej opowiada **dr inż. Malwina Balcerak** z Wydziału Geografii Społeczno-Ekonomicznej i Gospodarki Przestrzennej, autorka książki „Murale w procesie kształtowania wielkomiejskiej przestrzeni publicznej poprzez sztukę”.

ROZMAWIA MAGDA ZIÓŁEK

Murale nie tylko zdobią miasto, ale także współtworzą jego przestrzeń. W którym momencie przestają być jedynie dekoracją?

Rzeczywiście murale najczęściej postrzegane są przede wszystkim przez pryzmat funkcji estetycznej. Moje badania pokazują jednak, że mogą pełnić także wiele innych ról. W takich przypadkach przestają być jedynie dekoracją przestrzeni, a zaczynają np. podejmować ważne problemy społeczne i przekazywać określone wartości.

Przykładem jest mural Fundacji Rak'n'Roll „Boskie Matki” w Warszawie. Jego celem jest zwiększanie



świadomości dotyczącej chorób onkologicznych. Malowidło przedstawia kobietę bez włosów, będącą w zaawansowanej ciąży. W zamierzeniu autorów ma ono pokazywać, że nowotwór może dotknąć również kobiet w ciąży, a jednocześnie podkreślać, że leczenie może przebiegać w sposób bezpieczny dla dziecka.

Innym przykładem jest ekologiczny mural przy ulicy św. Wawrzyńca w Poznaniu. Został wykonany farbą fotokatalityczną zawierającą nanocząstki tlenku tytanu, które pod wpływem światła słonecznego i pary wodnej rozkładają toksyczne tlenki azotu na nieszkodliwe substancje. Tego typu

realizacje nie tylko zwracają uwagę na problem ochrony środowiska, lecz także realnie (choć w niewielkim stopniu) mogą przyczyniać się do ograniczania zanieczyszczenia powietrza i do walki ze smogiem.

Murale więc mogą nie tylko informować lub promować, ale też wpływać na sposób postrzegania przestrzeni i funkcjonowania w niej zarówno mieszkańców, jak i użytkowników tych przestrzeni. Kształtują wyobrażenia o miejscu, wzmacniają lokalną tożsamość i poczucie przywiązania do okolicy, dlatego ich rola zdecydowanie wykracza poza funkcję czysto estetyczną.

Kto dziś realnie decyduje o tym, jak wyglądają miejskie murale?

Proces powstawania murali angażuje wielu aktorów, a decyzje zapadają na różnych etapach.

Wydaje mi się jednak, że największą rolę odgrywają osoby inicjujące powstanie muralu. Nie zawsze mają one formalną władzę decyzyjną, ale to właśnie od nich najczęściej wychodzi impuls do działania. Mogą to być przedstawiciele administracji publicznej, artyści, organizacje społeczne, fundacje, ale także sami mieszkańcy. I to właśnie rosnąca rola mieszkańców staje się dziś coraz bardziej widoczna w badaniach – dzięki takim inicjatywom zyskują oni realny wpływ na wygląd swojej najbliższej przestrzeni.

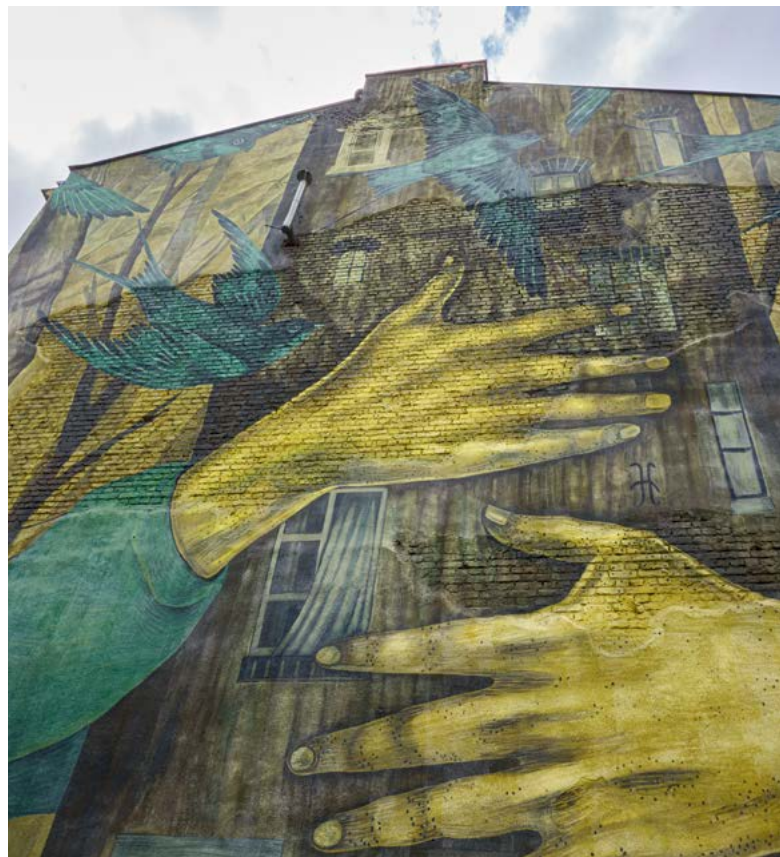
Relacje między poszczególnymi uczestnikami tego procesu są jednak na tyle złożone, że trudno wskazać jedną, najważniejszą grupę. Bardzo istotną rolę odgrywa administracja publiczna, która opiniuje w kwestiach formalnych i regulacyjnych. To właśnie ona może ostatecznie zdecydować, czy mural powstanie. Przykładowo w odniesieniu do budynków objętych ochroną konserwatorską taka realizacja może zostać zablokowana.

Wspomniała pani o mieszkańcach – czy ich udział w procesie powstawania muralu przekłada się później na silniejsze zakorzenienie takich realizacji w przestrzeni miasta?

Moje badania potwierdziły, że kiedy społeczność jest zaangażowana w proces powstawania muralu – nawet jeśli chodzi tylko o konsultacje – akceptacja tego wytworu w „ich przestrzeni” jest zdecydowanie większa, jego odbiór jest lepszy. Nie chodzi już nawet o samo wspólne malowanie, choć ono rzeczywiście najmocniej buduje poczucie związku z murałem. Jeśli ktoś może powiedzieć: „to ja namalowałem ten fragment”, łatwiej identyfikuje się z murałem, oswaja się z nim i zaczyna traktować jako coś „swojego”.

To zaangażowanie mieszkańców okazuje się więc bardzo ważne. Ale moje badania pokazały też coś jeszcze: ogromne znaczenie mają elementy lokalności obecne w samej treści muralu. Realizacje odwołujące się do historii miejsca, lokalnych postaci, ważnych wydarzeń czy problemów danej społeczności są zazwyczaj odbierane dużo lepiej.

Nie wiem, czy pamięta pani kontrowersje wokół murali związanych z NSZZ „Solidarność”. Planowano dziewięć takich realizacji wzdłuż Alei Solidarności w Poznaniu. Na jednym z bloków na Osiedlu Wichrowe Wzgórze miała pojawić się postać Lecha Wałęsy. I właśnie to wywołało sprzeciw części



mieszkańców, którzy otwarcie mówili, że nie chcą Wałęsy na swoim osiedlu. Ostatecznie mural nie powstał.

Dla porównania: na gdańskiej Zaspie, gdzie Lech Wałęsa mieszkał i z którą był silnie związany, takich protestów nie było. Mural powstał tam w 2008 r. z okazji 25. rocznicy przyznania mu Pokojowej Nagrody Nobla. Natomiast w Poznaniu, gdzie Wałęsa nie funkcjonuje jako postać „lokalna”, pojawił się wyraźny opór mieszkańców.

Jeśli nie Wałęsa, to jakie murale są w Poznaniu dobrze przyjmowane?

Na pewno te odnoszące się do Powstania Wielkopolskiego albo do klubu piłkarskiego Lech Poznań. I nie mówię tu o przypadkowych napisach kibicowskich, tylko o pełnoprawnych muralach. Takie realizacje można znaleźć głównie na Wildzie, Jeźcach, Łazarzu – myślę, że właściwie w każdej części miasta pojawiają się odniesienia do Lecha. Są dobrze przyjmowane, bo mieszkańcy się z nimi identyfikują. Lech Poznań jest ważnym elementem lokalnej tożsamości, dlatego obecność murali o tej tematyce w przestrzeni miasta nie budzi większych kontrowersji, nawet jeśli pojawiają się stosunkowo często.

Myslałam, że wymieni pani mural na Śródce.

To mural, który z jednej strony budzi kontrowersje, a z drugiej stał się bardzo silnym narzędziem marketingowym nie tylko Śródki, ale całego miasta. Można wręcz powiedzieć, że zaczął generować ruch turystyczny, ale co ciekawe, nie zawsze jest to odbierane przez mieszkańców pozytywnie. Wraz z jego pojawieniem się

– oczywiście obok innych procesów zachodzących na Śródcie – zaczęli napływać turyści, co stopniowo zaczęło zakłócać codzienny rytm życia lokalnej społeczności. Jednocześnie pojawiły się nowe lokale usługowe, wzrosły ceny nieruchomości, a prestiż tej części miasta wyraźnie się podniósł. W tym sensie mural, na pewno nie bezpośrednio, ale pośrednio wraz z innymi czynnikami, przyczynił się do procesu wypierania mieszkańców. Po prostu nie wszystkich było już stać na życie w tej okolicy.

To pokazuje, że mural może mieć również negatywne konsekwencje. Nie zawsze jest tylko „kolorową historią” zapisaną na murze – czasem staje się elementem dużo szerszych procesów społecznych i ekonomicznych.

No właśnie – czy mural może być narzędziem rewitalizacji?

Może, ale nie opierałabym działań rewitalizacyjnych wyłącznie na muralach. Dobrym przykładem negatywnego wpływu w tym wymiarze może być Wrocław, gdzie w jednej z zaniedbanych części miasta zaczęto tworzyć murale na podwórkach, traktując je jako sposób na ożywienie przestrzeni.

Założenie było proste: estetyczna zmiana otoczenia miała przełożyć się na poprawę jakości życia mieszkańców. W praktyce okazało się jednak, że to nie wystarcza. Rozmawiałam z jednym z mieszkańców tej przestrzeni, który zwracał uwagę na to, że wraz z muralami pojawili się turyści i osoby odwiedzające tę okolicę, co zaczęło być dla lokalnej społeczności po prostu uciążliwe. Jak mówił, odwiedzający nie tylko zakłócają spokój mieszkańców, ale często też śmieją i hałasują.

To dobrze pokazuje, że „rewitalizacja poprzez mural” sama w sobie nie przynosi oczekiwanych efektów. Na rewitalizację trzeba patrzeć dużo szerszej – jako na proces wyprowadzania danego obszaru ze stanu kryzysowego, przede wszystkim w wymiarze społecznym, a nie jedynie estetycznym. Sam mural na ścianie nie rozwiąże istniejących problemów.

A jeśli spojrzymy na murale z perspektywy marketingu – czy miasto może promować się za ich pomocą?

Oj, bardzo – i to nie tylko w przypadku promocji miasta. Wiele murali powstaje też przy okazji konkretnych wydarzeń: jubileuszy miast, ważnych rocznic czy lokalnych obchodów. Wtedy mural staje się jednocześnie narzędziem promocji i trwałą pamiątką po danym wydarzeniu. Dobrym przykładem marketingowego potencjału murali jest Osiedle Zaspą w Gdańsku. W ramach festiwalu ArtMurale powstała tam galeria licząca ponad 60 malowideł, dzięki którym miejsce zyskało dużą rozpoznawalność. Dziś Zaspą jest często wskazywana jako przykład osiedla skutecznie promowanego przez sztukę obecną w przestrzeni miejskiej.

Warto również wskazać, że coraz częściej nie tylko miasta promują się w ten sposób, ale także marki komercyjne, takie jak Netflix, HBO, sieci odzieżowe czy nawet przemysł spożywczy, które wykorzystują ściany budynków zamiast tradycyjnych billboardów. Wybierają mural, ponieważ – co pokazały też moje badania – jest on społecznie odbierany znacznie lepiej niż klasyczna reklama wielkoformatowa. Kiedy reklama przyjmuje formę muralu, zaczyna być postrzegana bardziej jako działanie

artystyczne niż typowa promocja. Dzięki temu odbiorcy łatwiej ją akceptują niż zwykłą reklamową „płachtę”.

Jak długo właściwie „żyje” mural? Bo przyznam, że niekoniecznie chciałabym przez najbliższe 10 lat patrzeć z okna na reklamę Netflixu.

Nie ma jednej zasady określającej, jak długo „żyje” mural – wszystko zależy od jego funkcji i miejsca, w którym powstał.

Murale komercyjne, takie jak wspomniane już reklamy Netflixu, zazwyczaj istnieją bardzo krótko: od kilkunastu dni do najwyżej kilku tygodni. Wynika to zarówno z kosztów wynajmu ściany, jak i z tego, że reklamodawcom nie zależy na wieloletniej obecności jednej realizacji. Takie murale są po prostu regularnie zastępowane nowymi.

Inaczej wygląda sytuacja w przypadku murali niekomercyjnych, które mogą funkcjonować przez wiele lat – o ile wcześniej nie zniszczą ich warunki atmosferyczne, akty wandalizmu lub zmiany urbanistyczne. Przykładem jest mural przy ul. Poznańskiej 12, który przedstawiał niebieskiego koziorożca i fioletową wilczycę w kosmicznej oprawie. Nie został zamalowany – po prostu zniknął za nowym budynkiem.


Z drugiej strony mural żyje dziś także w przestrzeni cyfrowej – w mediach społecznościowych, na zdjęciach i w internetowym obiegu. I właśnie tam jego „życie” bywa znacznie dłuższe niż w rzeczywistej przestrzeni miasta. Dobrym przykładem są prace KAWU, działającego częściowo anonimowo artysty nazywanego czasem „poznańskim Banksym”. Przykładem dłuższego „życia” w przestrzeni cyfrowej jest jego mural przedstawiający Vladimira Putina jako Lorda Voldemorta, który powstał jako reakcja na wojnę w Ukrainie. Choć od jego powstania minęło trochę czasu i muralu już nie ma, nadal wywołuje emocje i bardzo dobrze funkcjonuje w internetowym obiegu.

Jak pani zdaniem będą rozwijać się murale – bardziej w stronę sztuki, reklamy czy działań społecznych?

Zauważyłam, że w ostatnich latach bardzo wyraźnie rośnie ich funkcja komercyjna. Coraz częściej pełnią rolę reklamy i stają się alternatywą dla billboardów, dlatego wydaje mi się, że będzie przybywać realizacji o stricte marketingowym charakterze.

Często jestem również pytana o przesyt tą formą sztuki. Od mniej więcej dekady murale stały się niezwykle popularną formą – niemal każde wydarzenie, jubileusz czy rocznica stają się pretekstem do stworzenia nowego muralu. Być może w pewnym momencie pojawi się zmęczenie tą formą, ale uważam, że w perspektywie najbliższych lat nie dojdzie jeszcze do przesycenia muralami.

Najbardziej zastanawia mnie jednak postępująca instrumentalizacja, czyli wykorzystywanie murali głównie do celów komercyjnych, a nie społecznych. Do tej pory często służyły integrowaniu mieszkańców, budowaniu lokalnej tożsamości czy przekazywaniu określonych wartości i idei. Dziś coraz wyraźniej przesuwamy się w stronę murali reklamowych, które częściowo zaczynają zastępować tradycyjne nośniki reklamy. Oczywiście billboardy całkowicie nie znikną, ale widać, że ten proces nabiera tempa. ■



ANTYWOJENNY GŁOS SYBERII

Uciekli przed represjami, ale nie zamilkli. Z prof. UAM Zbigniewem Szmytem z Wydziału Antropologii i Kulturoznawstwa o aktywizmie rdzennych narodów Syberii

ROZMAWIA EWA KONARZEWSKA-MICHALAK

Bada pan aktywizm rdzennych narodów Syberii, który wzmożł się po 2022 r. Jak do tego doszło?

W 2024 r. otrzymaliśmy roczny grant interwencyjny NAWA „Aktywizm antywojenny wśród mniejszości etnicznych z Rosji”, w ramach którego badaliśmy osoby, które po wybuchu wojny wyemigrowały z Rosji. Rosja wypychała je z kraju, bo ich antywojenna działalność podważała oficjalną narrację Kremla. Badaliśmy aktywistów w Mongolii, Gruzji i Kazachstanie, czyli w krajach, do których uciekali w pierwszej kolejności. Gdy ich działalność na emigracji zaniepokoiła Moskwę, Rosja zaczęła naciskać na zależne od siebie państwa, by ich wydalają. Zdarzały się nawet próby porwań i wywożenia do Rosji.

Większość aktywistów wyjechała dalej do Europy albo USA, gdzie czuje się bezpieczniej. Zabiegają o widoczność

medialną, by wpływać na polityków w Europie i docierać do społeczności rdzennych narodów Syberii, ale ich pozycja pozostaje krucha. Wielu przebywa na wizach humanitarnych, zależy od przychylności lokalnych władz i grantów. Żyją w niepewności finansowej i lęku przed rosyjskimi służbami. Władze rosyjskie wpisują ich organizacje na listy ekstremistyczne i terrorystyczne, co oznacza groźbę wieloletnich wyroków.

Jak duża jest to grupa?

Trudno powiedzieć. Na początku wojny z Rosji wyjechało i nie wróciło ponad milion osób. Byli wśród nich przedstawiciele różnych grup etnicznych i społecznych. Wyjeżdżali głównie ci, którzy mogli utrzymać się za granicą, czyli pracownicy branży IT, przedstawiciele wolnych zawodów, klasa kreatywna i osoby, którym

łatwiej było znaleźć pracę. Przedstawiciele rdzennych narodów są w tej grupie nieliczni, ale widoczni w przestrzeni medialnej.

Jak wygląda ich praca na emigracji?

Na początku, gdy część aktywistów była jeszcze w Rosji, organizowali protesty antywojenne i antymobilizacyjne w stolicach republik narodowościowych, takich jak Republika Sacha, Buriacja i Tuwa. Brały w nich udział głównie kobiety, bo mężczyźni przy takich okazjach łatwo było zmobilizować do wojska. Z tych protestów wyrosły pierwsze ruchy feministyczne wśród rdzennych narodów. Policja szybko je spacyfikowała. Potem wprowadzono represyjny paragraf o dyskredytacji armii, który miał zdusić wszelkie protesty antywojenne.

W drugim etapie aktywiści wspierali w krajach ościennych tzw. relokantów, czyli mężczyzn uciekających przed przymusowym powołaniem. Gdy fala mobilizacji się skończyła, większość aktywistów pod presją Rosji musiała przerwać działalność albo wyjechać dalej.

Trzecia fala aktywizmu skupia się na usieciowieniu. Wcześniej każda grupa etnonarodowościowa działała głównie w ramach swojej republiki. Teraz społeczności lokalne na Syberii coraz wyraźniej widzą, że mierzą się z podobnymi problemami i powinny łączyć siły.

W czym się specjalizują?

Część organizacji prowadzi edukację feministyczną i walczy z przemocą domową. Wojenne traumy zwiększają ryzyko przemocy wobec kobiet. Aktywistki unikają języka, który mógłby narazić je na oskarżenie o dyskredytację armii, bo chcą pozostać w rosyjskim polu prawnym. Niektóre zostały w kraju, więc nie działają tylko w mediach społecznościowych.

Pojawiają się wątki dekolonizacyjne, które Putin uznaje za zagrożenie dla jedności Rosji. Do podcastu „Mówi republika” zapraszani są naukowcy mówiący o kolonizacji, represjach bolszewickich i historii republik, kwestionujący narrację marginalizującą rdzenne narody. Grupy podejmujące te tematy nie deklarują otwarcie celów politycznych, dzięki czemu mogą działać w rosyjskiej przestrzeni informacyjnej.

Inne organizacje współpracują z rosyjską opozycją na emigracji, od środowiska Chodorowskiego po Fundację Walki z Korupcją związaną ze śp. Aleksiejem Nawalnym. W radach koordynacyjnych zabiegają o realną federalizację Rosji, prawa narodów rdzennych i dekolonizację państwa.

Bardziej separatystyczne grupy, np. Liga Wolnych Nacji, odrzucają współpracę z rosyjską emigracją, uznając ją za imperialną. Organizacja skupia narody syberyjskie, Kałmuków, Baszkirów, Tatarów i narody Kaukazu, próbując budować front niepodległościowy.



Aktywiści pokazują społeczne koszty wojny i odwołują się do zdrowego egoizmu społecznego

Ważna jest też współpraca poza środowiskami rosyjskimi. Myślenie dekolonialne docierało z Kirgistanu i Kazachstanu, gdzie refleksja nad zależnością od Rosji ma dłuższą tradycję. Emigranci w USA uczą się od pierwszych narodów Ameryki, jak łączyć prawa polityczne z ekologią. Nawigują kontakty z diasporami Kałmuków i czeczeńską Iczkerią. To proces uczenia się i transferu praktycznej wiedzy.

Powiedział pan, że emigranci działają

przede wszystkim w internecie, a przecież w Rosji mocno ogranicza się do niego dostęp. Czy aktywiści nadal docierają do ludzi, którzy zostali na miejscu?

Wraz z organizacją Azjaci Rosji badaliśmy stosunek mieszkańców Tuwy i Buriacji do wojny oraz rozpoznawalność nowych mediów opozycyjnych. W drugim roku wojny sięgała ona 90 proc. i była wyższa niż w przypadku mediów ogólnorosyjskich, np. Fundacji Walki z Korupcją. Teraz ograniczenia są coraz ostrzejsze. Nawet Telegram bywa blokowany lub ograniczany. Młodsze pokolenia instalują VPN często nie po to, by śledzić opozycyjne media, lecz by mieć dostęp do Instagrama. Wiele osób pracuje jako twórcy cyfrowi. Ubywa jednak pasywnych odbiorców. Niektórzy eksperci uważają, że Rosja zmierza w stronę zamkniętej sieci podobnej do północnokoreańskiego intranetu. Nie wiem, na ile to możliwe w gospodarce wciąż powiązanej ze światem. Władze rosyjskie dokręcają śrubę stopniowo, żeby nie wywołać masowego protestu ani nie uderzyć zbyt mocno w gospodarkę.

Czy korzystanie z blokowanych mediów społecznościowych jest karane?

Nie, nikt nie pójdzie do więzienia za samo przeglądanie Instagrama albo wstawienie zwykłego postu. Ryzyko pojawia się wtedy, gdy wpis krytykuje władzę, wojnę albo zostanie uznany za „propagowanie ideologii LGBT”. Paradoks polega na tym, że wielu rosyjskich polityków i propagandystów nadal działa w mediach, które państwo samo blokuje.

Wiadomo, jakie nastroje społeczne panują na Syberii? Czy zmieniają się wraz z przeciągającą się wojną?

Rok po inwazji na Ukrainę rozmawialiśmy online z mieszkańcami Syberii, a anonimowi aktywiści prowadzili nieformalne rozmowy w swoich środowiskach. Widzieliśmy wzrost niechęci do wojny i silną potrzebę jej zakończenia. 80 proc. respondentów w Tuwie i Buriacji liczyło wtedy, że wojna szybko się skończy. Dziś podobne badania byłyby bardzo niebezpieczne przez te przepisy penalizujące krytykę wojny, działalność organizacji antywojennych i współpracę z zachodnimi badaczami. Z analizy niepropagandowych mediów, lokalnych stron i prywatnych rozmów wynika, że skala śmierci jest ogromna. Trudno znaleźć osobę, która nie straciłaby kogoś w Ukrainie, od kolegów z klasy po bliskich.

W Moskwie powszechne doświadczenie wojny długo nie było odczuwalne. Zmieniło się to dopiero wtedy, gdy do stolicy zaczęły docierać ukraińskie ataki dronowe.

Nasze badania pokazały, że najbliżsi krewni poległych żołnierzy, zwłaszcza matki i ojcowie, są zazwyczaj pro-rządowi. Myślę, że działa tu mechanizm psychologiczny. Bardzo trudno przyjąć, że syn albo brat zginął bez sensu, w wojnie prowadzonej po stronie agresora. Inaczej reagują osoby, które nie przeżyły podobnej traumy. Wiele z nich ma już dosyć wojny, przede wszystkim z powodu kolejnych ograniczeń. Lepiej sytuowani Rosjanie nadal chcą jeździć do Europy, korzystać z iPhone'ów, aktualizacji, aplikacji i gier takich jak Roblox, choć państwo coraz częściej blokuje zachodnie usługi cyfrowe. Pogarszające się warunki ekonomiczne budzą lęk przed spadkiem jakości życia. Nie przekłada się to jednak na większe współczucie wobec Ukraińców.

Działalność informacyjna grup antywojennych jest częściowo skuteczna, bo dzięki niej ludzie dowiadują się, ilu żołnierzy ginie. Te śmierci mają imię, nazwisko i krótką biografię na Instagramie. Aktywiści pokazują społeczne koszty wojny i odwołują się do zdrowego egoizmu społecznego.

Pobór do wojska w pierwszej fazie wojny skupiał się przede wszystkim na regionach azjatyckich. Jak było później?

Region przy granicy z Chinami i Mongolią był tradycyjnie silnie zmilitaryzowany. Wielu mężczyzn jeszcze przed 2022 r. podpisywało kontrakty wojskowe, bo dawały szansę na nieco lepsze życie. Dodatkowo ówczesny minister obrony, Siergiej Szojgu, pochodzący z Tuwy, wzmacniał obecność armii i struktur siłowych w regionie, także przez rozwój szkół kadeczkich dla dzieci. To silnie wiązało Tuwę z aparatem wojskowym i częściowo tłumaczy nadreprezentację mieszkańców republik etnicznych w rosyjskich siłach zbrojnych.

Teraz pobór trwa cały czas. Na początku władze obiecywały, że nie będą wysyłać żołnierzy służby zasadniczej na Ukrainę, ale to nieprawda. Gdy ktoś trafia do wojska, stosuje się wobec niego presję fizyczną i psychiczną, by podpisał kontrakt. W biednych regionach pieniądze za kontrakt i wysoka miesięczna wypłata są kuszące. Często same rodziny wypychały mężczyzn do armii, bo pozwalało to spłacić długi albo zaciągnąć kredyt hipoteczny. Pojawiły się też tzw. czarne wdowy, które seryjnie wychodziły za żołnierzy, by przejąć po ich śmierci grobowe.

Kolejną mobilizowaną grupą byli więźniowie, którym obiecywano amnestię po pół roku służby na froncie. Jednocześnie pogarszano warunki w więzieniach, głodzono ich i bito, dlatego wielu pod presją zgadzało się na służbę. Wiele kolonii karnych wręcz opustoszało. Mówimy o dziesiątkach tysięcy ludzi, jeśli nie więcej, bo

pełnych danych nie ma. Ten system działał przez trzy lata. Obecnie wydaje się, że liczba osób, które można w ten sposób zwerbować do armii, osiągnęła plateau. To może oznaczać, że władze będą rozważały drugą przymusową mobilizację.

Podczas wojny w Afganistanie kobiety skutecznie naciskały na rządzących. Teraz wydaje się, że głos matek i żon nie jest słuchany.

Organizacje matek żołnierzy walczących w Afganistanie były ważną częścią rodzącego się społeczeństwa obywatelskiego w późnym ZSRR i Rosji lat 90. Władza częściowo je tolerowała, bo mówiły językiem troski o synów, a nie otwartej opozycji politycznej. Co ciekawe, w Afganistanie zginęło znacznie mniej radzieckich żołnierzy niż dziś w Ukrainie. Teraz jednak mamy do czynienia z innym zjawiskiem. W Afganistanie walczyli poborowi, a dziś na wojnę trafiają głównie ludzie, którzy podpisali kontrakt i dostali za to pieniądze. To pozwala części społeczeństwa odciąć się od nich emocjonalnie – rozumuje ona „Skoro daliście się skusić pieniędzmi, ponosicie konsekwencje”. Tak zachowuje się część rosyjskiego społeczeństwa, która nie popiera wojny, ale nie chce też ponosić kosztów sprzeciwu wobec niej.

Protesty matek widać zwłaszcza wtedy, gdy nie odnaleziono i nie zidentyfikowano ciała ich synów. Rodziny nie mają wtedy prawa do odszkodowań. Takich przypadków jest dużo, bo strefę frontową kontrolują drony FPV, które na dystansie kilkudziesięciu kilometrów rażą niemal wszystko, co się porusza. Dochodzą do tego patologie w rosyjskiej armii. Żołnierze odmawiający wyjścia na pozycje bywają bezprawnie rozstrzelani, a ich ciała znikają. Nie widać dziś ruchu dysydenckiego wyrastającego z protestów matek poległych żołnierzy. Widać natomiast regionalne protesty kobiet domagających się wydania ciał albo poprawy warunków w oddziałach szturmowych. Być może tylko takie formy protestu są jeszcze dopuszczane do głosu. Trzeba pamiętać, że w Rosji nawet drobne gesty sprzeciwu mogą się spotkać z surowymi represjami.

Wróćmy do tematu emigracji. Jak pan sądzi, czy aktywiści będą mieli wpływ na to, co będzie się działo z państwem rosyjskim po zakończeniu wojny?

Warto mieć gotowe kadry na wypadek większego kryzysu w Rosji, bo historia zna takie momenty. Jeśli sytuacja polityczna nie zmieni się radykalnie, grupy emigrantów zapewne przekształcą się w diasporę, podobnie jak biała emigracja po rewolucji bolszewickiej. Ale wojny bywają początkiem wielkich zawieruch, jak I wojna światowa, po której odrodziło się państwo polskie. Nie wiemy, co stanie się dalej, dlatego warto obserwować te środowiska. ■



UAM W SIECI UNIWERSYTETU BAŁTYCKIEGO

Trzy dekady współpracy dla zrównoważonego rozwoju i demokracji

PROF. UAM TOMASZ BRAŃKA

Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu od trzech dekad aktywnie uczestniczy w działaniach The Baltic University Programme (BUP) – jednej z największych sieci współpracy akademickiej w regionie Morza Bałtyckiego. Zaangażowanie UAM obejmuje edukację, badania naukowe, rozwój kompetencji studentów i doktorantów oraz współtworzenie międzynarodowych projektów poświęconych najważniejszym wyzwaniom współczesności: zrównoważonemu rozwojowi, ochronie środowiska, demokracji i bezpieczeństwu społecznemu.

Baltic University Programme powstał w 1991 r., krótko po rozpadzie bloku wschodniego, jako odpowiedź środowiska akademickiego na nowe możliwości współpracy w regionie Morza Bałtyckiego. Inicjatywa ta od samego początku była koordynowana przez Uniwersytet w Uppsali – jedną z najstarszych i najbardziej renomowanych uczelni Europy – który do dziś odpowiada za koordynację całej sieci. Założycielem programu był szwedzki biochemik prof. Lars Rydén, który dostrzegł szansę na wykorzystanie współpracy akademickiej do budowania demokratycznych więzi między państwami regionu po zakończeniu

zimnej wojny. Jego wizją było stworzenie sieci, w której studenci i naukowcy z różnych krajów wspólnie poszukiwaliby rozwiązań problemów środowiskowych, społecznych i rozwojowych regionu Morza Bałtyckiego.

Przez minione trzy dekady działalności BUP rozrósł się do imponujących rozmiarów: dziś skupia ponad 110 uniwersytetów z jedenastu krajów regionu Morza Bałtyckiego, tworząc wyjątkową platformę długoterminowej współpracy akademickiej w dziedzinie edukacji, badań naukowych i zaangażowania społecznego. Sieć regularnie organizuje konferencje studenckie, warsztaty doktoranckie, sympozja, szkoły letnie oraz kursy doskonalenia zawodowego dla nauczycieli akademickich. W następstwie pełnoskalowej agresji Rosji na Ukrainę w 2022 r. współpraca z uczelniami z Rosji i Białorusi została zawieszona do odwołania.

Fundamentem działalności BUP są dwie kluczowe wartości: przekonanie o roli uniwersytetów jako filarów demokracji oraz promocja zrównoważonego rozwoju. W czasach narastających napięć geopolitycznych, kryzysów środowiskowych i społecznej polaryzacji wartości te nabierają szczególnego znaczenia. Uniwersytety nie są wyłącznie miejscami tworzenia wiedzy.



Pełnią również funkcję przestrzeni rozwijania krytycznego myślenia, odpowiedzialności obywatelskiej i odporności społecznej. Jednocześnie państwa regionu Morza Bałtyckiego mierzą się ze wspólnymi wyzwaniami środowiskowymi, dlatego współpraca naukowa i edukacyjna w zakresie zrównoważonego rozwoju pozostaje jednym z najważniejszych zadań sieci.

Historia zaangażowania UAM w działalność Uniwersytetu Bałtyckiego sięga trzech dekad. Inicjatorem przystąpienia uczelni do programu był **prof. Witold Maciejewski** z Katedry Skandynawistyki, który dostrzegł znaczenie rozwijającej się współpracy akademickiej w regionie Morza Bałtyckiego. Dzięki jego staraniom UAM stał się aktywnym uczestnikiem sieci, a z czasem jednym z jej ważniejszych partnerów w Polsce.

Jedną z największych zalet BUP jest to, że program nie ogranicza się do jednej grupy odbiorców. Z jego oferty korzystają studenci, doktoranci, naukowcy i nauczyciele akademicy. Studenci uczestniczą w międzynarodowych konferencjach, szkołach letnich i warsztatach rozwijających kompetencje badawcze. Młodzi naukowcy mogą prezentować wyniki swoich badań, budować sieci współpracy i rozwijać projekty dotyczące m.in. zmian klimatu, transformacji energetycznej czy odporności społecznej. Z kolei nauczyciele akademicy uczestniczą w szkoleniach i warsztatach poświęconych nowoczesnym metodom dydaktycznym oraz edukacji dla zrównoważonego rozwoju. Przez cały rok kalendarz BUP wypełniają seminaria, webinaria, szkolenia i wydarzenia sieciujące, dzięki którym współpraca między uczelniami ma charakter ciągły, a nie ogranicza się jedynie do pojedynczych projektów czy konferencji.

Istotnym elementem działalności programu są zaawansowane formy kształcenia młodych badaczy. BUP Master's Thesis Training to coroczne intensywne warsztaty dla studentów przygotowujących prace magisterskie poświęcone problematyce regionu Morza Bałtyckiego. Uczestnicy mają możliwość prezentowania swoich projektów badawczych, uzyskiwania informacji zwrotnej od ekspertów oraz wymiany doświadczeń z rówieśnikami z różnych krajów. Podobną funkcję pełni BUP PhD Students Training – prestiżowe wydarzenie skierowane do doktorantów, podczas którego rozwijają oni swoje projekty badawcze poprzez seminaria, konsultacje eksperckie i dyskusje w międzynarodowym gronie.

Naukowcy z UAM odgrywają w tych przedsięwzięciach ważną rolę jako mentorzy i eksperci. Wspierają

Fundamentem działalności BUP są dwie kluczowe wartości: przekonanie o roli uniwersytetów jako filarów demokracji oraz promocja zrównoważonego rozwoju

studentów oraz doktorantów poprzez konsultacje metodologiczne i merytoryczne, a jednocześnie wymieniają doświadczenia z badaczami z innych uczelni regionu. Taka współpraca sprzyja podnoszeniu jakości badań naukowych oraz doskonaleniu metod kształcenia.

Znaczenie UAM w strukturach programu potwierdza podpisany niedawno list intencyjny dotyczący współorganizacji BUP PhD Students Training. W 2026 r. wydarzenie

odbędzie się na Politechnice Łódzkiej, pełniącej funkcję krajowego koordynatora BUP w Polsce. Rok później gospodarzem spotkania będzie Uniwersytet im. Adama Mickiewicza. Do Poznania przyjadą doktoranci z całego regionu Morza Bałtyckiego, aby przez tydzień rozwijać swoje rozprawy doktorskie w międzynarodowym środowisku akademickim.

UAM angażuje się również w projekty badawcze realizowane w ramach sieci. Jednym z nich był projekt CAPABLE, którego celem było wzmocnienie potencjału regionu Morza Bałtyckiego w zakresie adaptacji do zmian klimatu i zrównoważonego rozwoju. Szczególny nacisk położono na rozwijanie kompetencji studentów i nauczycieli akademickich pozwalających lepiej odpowiadać na złożone wyzwania środowiskowe i społeczne. Z kolei w projekcie „Digital at Home” naukowcy UAM współtworzyli publikację „Re-thinking the Baltic Sea Region: Trends and Challenges” (2023) pod redakcją piszącego te słowa oraz prof. Victora Shadursky'ego. Książka stanowi ważny efekt współpracy naukowej w sieci BUP i odzwierciedla kluczowe debaty dotyczące regionu Morza Bałtyckiego prowadzone w międzynarodowym środowisku akademickim.

Obecnie UAM wraz z partnerami sieci przygotowuje kolejny projekt badawczy, zatytułowany „Universities as societal resilience nodes in civil preparedness – insights from the Baltic Sea Region”, złożony do Rady Państw Morza Bałtyckiego. Jego celem jest analiza i wzmocnienie roli uniwersytetów w budowaniu odporności społecznej oraz przygotowania cywilnego na współczesne zagrożenia bezpieczeństwa.

Współpraca akademicka nie jest już wyłącznie wymianą wiedzy między uczelniami. Staje się narzędziem wzmocnienia demokracji, odpowiedzialności społecznej i bezpieczeństwa regionu. UAM odgrywa w tym procesie ważną rolę – nie tylko jako uczestnik sieci, lecz także jako współtwórca jej przyszłości. W świecie, w którym wyzwania coraz rzadziej kończą się na granicach państw, taka współpraca staje się jednym z cenniejszych zasobów. ■

CHCIAŁEM STUDIOWAĆ W KRAJU, KTÓRY MA ZNACZENIE



Z pułkownikiem **T. Justinem Bronderem**
z dowództwa wojsk specjalnych USA, absolwentem UAM,

ROZMAWIA EWA KONARZEWSKA-MICHALAK

W marcu amerykański oficer wygłosił na Wydziale Historii wykład „US Special Operations Facing Contemporary Challenges: Acquisition, Technology, and Logistics”, który spotkał się z dużym zainteresowaniem studentów. Pułkownik Bronder odwiedził UAM na zaproszenie **prof. UAM Bartosza Kruszyńskiego**, jednego z promotorów doktoratu, który oficer obronił 10 lat temu w Pracowni Historii Wojskowej na UAM.

Co skłoniło pana do napisania rozprawy doktorskiej z historii wojskowości na UAM? Wcześniej obronił pan przecież doktorat z astrofizyki na Uniwersytecie Oksfordzkim.

W ramach stypendium The Olmsted Foundation musiałem studiować coś nowego. Głównym celem stypendium jest rozwijanie kompetencji oficerów poprzez poznanie kultury, historii, nauk politycznych różnych krajów. Dzięki wsparciu profesorów Bartosza Kruszyńskiego i **Zbigniewa Pilarczyka** mogłem studiować historię wojskową i w ten sposób lepiej poznać Polskę, a także podnieść oficerskie kwalifikacje. Rozumienie historii pomaga podejmować lepsze decyzje.

A dlaczego Polska?

Jako stypendysta Olmsteda chciałem studiować w kraju, który ma znaczenie dla spraw międzynarodowych i wojskowych. Uważałem,

i nadal tak uważam, że Polska będzie odgrywać coraz ważniejszą rolę, jeśli chodzi o obronę – nie tylko Europy, ale być może całego świata. Biorąc pod uwagę doświadczenia związane z Rosją oraz walką o niepodległość i wolność, odnoszę wrażenie, że Polska jest dla Stanów Zjednoczonych jednym z najważniejszych państw na świecie w kwestiach wojskowych.

Poza tym stypendium było okazją do lepszego poznania polskich korzeni. Mój prapradziadek wyemigrował ze Śląska w czasie wojny krymskiej. Jeszcze dla moich dziadków polski był pierwszym językiem. Okazało się, że wielu Bronderów do tej pory mieszka we wsi Żędowice, skąd pochodził mój prapradziadek.

Gdzie osiedlili się pana przodkowie?

Wyjechali do Teksasu na fali emigracji z ojcem Leopoldem Moczygembą. Ludzie, którzy wtedy wyjeżdżali, utworzyli pierwszą polską katolicką parafię w Teksasie, w miejscowości Panna Maria. Mój ojciec i ja urodziliśmy się w San Antonio. Nasza rodzina żyje tam od kilku pokoleń.

Pana doktorat na UAM dotyczył RAF-u i lotnictwa myśliwskiego USA w czasie II wojny światowej. Co pan odkrył?

Skupiłem się na relacji między taktyką i technologią. Uważam, że ich wzajemne oddziaływanie ma ogromne znaczenie. Wojsko, chcąc zmieniać i rozwijać taktykę, nie może tego robić niezależnie od trendów technologicznych.

VENI, VIDI, VICI

W pracy pisałem o tym, że podczas operacji RAF-u i U.S. Army Air Forces dochodziło do wielu błędów i porażek. Jedną z przyczyn był brak współpracy między osobami odpowiedzialnymi za rozwój taktyki a organizacjami rozwijającymi technologię. Taka ścisła współpraca jest konieczna, jeśli chce się lepiej przygotować do wojny.

Jak pan wspomina czas spędzony na UAM?

To było unikalne doświadczenie w moim życiu. Oczywiście, jak mówiłem, wcześniej miałem wsparcie profesorów Kruszyńskiego i Pilarczyka. Bardzo dobrze oceniam naszą współpracę i koleżeństwo, a także studiowanie w Polsce. Mieszkanie i życie w obcej kulturze było owocnym doświadczeniem, pełnym trudności, jeśli chodzi o komunikację i sam język, jednocześnie niezwykle rozwijającym.

Od czego zaczęła się pańska kariera w wojsku?

Mój ojciec był oficerem i pilotem samolotu myśliwskiego RF-4 Phantom II. Jestem patriotą, gdy miałem 18 lat, bardzo chciałem wspierać wyższy cel.

Zostałem przyjęty do Akademii Sił Powietrznych USA w Colorado Springs, tam studiowałem, obroniłem licencjat i mianowano mnie na porucznika. Tak zaczęła się moja kariera w Siłach Powietrznych.

Na wykładzie mówi pan o wyzwaniach, z jakimi mierzą się siły specjalne USA (United States Special Operations Command). W jaki sposób zmieniają się priorytety dowództwa w kontekście rywalizacji mocarstw i nowych technologii?

Bardzo ważne jest dla nas, by włączać się w rozwój najnowszych trendów technologicznych. Chcemy to jednak robić w zgodzie z podstawowym przekonaniem, że ludzie są ważniejsi niż sprzęt, bo mamy najlepszy personel w siłach zbrojnych. Dlatego stawiamy na

współpracę naszych ludzi z najnowocześniejszymi systemami.

Nasz lider, admirał Bradley, mówi o *man-machine teaming*, czyli współdziałaniu człowieka i maszyny. Zastanawiamy się, jak wzmacniać potencjał ludzi dzięki współpracy ze sztuczną inteligencją, dronami i innymi nowymi systemami.

To całkiem inny sposób myślenia od tego, jaki reprezentują Rosjanie. Mówił pan wcześniej o roli Polski. Mierzymy się teraz z faktem, że staliśmy się krajem przyfrontowym. Jak ocenia pan naszą sytuację?

W strategii narodowej USA mówimy o konieczności odstraszenia Chin, obronie ojczyzny oraz potrzebie większego podziału odpowiedzialności między sojusznikami.

W każdym z tych priorytetów widać rolę Polski. Jeśli mówimy o obronie ojczyzny, musimy pamiętać, że jej istnienie opiera się na wolności. A ta jest zagrożona zarówno przez Rosję, jak i przez Chiny. ■



Pułkownik T. Justin Bronder z dowództwa wojsk specjalnych USA (USSOCOM) podczas wystąpienia zatytułowanego „Współczesne wyzwania amerykańskich sił operacji specjalnych: pozyskiwanie, technologia i logistyka”





MURRAY BYŁBY ZADOWOLONY

Szkocka wyprawa śladami Jamesa Murraya – odkrywcy i badacza, który znacząco poszerzył wiedzę o niesporczakach i wrotkach – była pod wieloma względami wyjątkowa. Naukowcy z Wydziału Biologii przez tydzień odwiedzali miejsca, w których Murray pobierał próbki i prowadził badania. To właśnie jemu zawdzięczamy opisy ponad 60 gatunków niesporczaków oraz liczne, niezwykle precyzyjne rysunki tych fascynujących zwierząt.

KRZYSZTOF SMURA

Zapewne liczba opisanych gatunków byłaby znacznie większa, gdyby nie tragiczny koniec badacza, który zaginął wraz z załogą statku badającego obszary kanadyjskiej Arktyki – mówi Jędrzej Warguła, doktorant z Zakładu Taksonomii i Ekologii Zwierząt UAM. – Wybierając się do Szkocji, mieliśmy świadomość, że jego prace należały do jednych z pierwszych badań, w których taksonomię niesporczaków potraktowano w sposób w pełni naukowy – dodaje.

– Choć pierwsze niesporczaki opisano ok. 1840 r., to właśnie badania Murraya z początku XX w. wniosły do tej dziedziny wiedzy nową jakość. To na ich podstawie później opisywano niesporczaki z całego świata – zauważa **prof. UAM Łukasz Kaczmarek**. – Od

tamtego czasu minęło jednak wiele lat i uznaliśmy, że warto uzupełnić tę wiedzę, wykorzystując współczesne możliwości badawcze – wyjaśnia.

Jak podkreślają naukowcy, środki, którymi dysponował Murray, były w jego czasach nowoczesne, dziś jednak uchodzą za mocno przestarzałe. Ówczesne mikroskopy nie oferowały jakości porównywalnej ze współczesnymi urządzeniami, dlatego z perspektywy obecnej taksonomii opisy wielu gatunków są dość ubogie i trudne do zweryfikowania wyłącznie na podstawie cech morfologicznych wskazanych przez badacza. Mimo to Murray pozostaje wybitnym przyrodnikiem, z którego dorobku korzystano przez długie lata.

< Zamiast potwora – niesporczaki. Naukowcy z UAM:

mgr Jędrzej Warguła (od lewej) oraz prof. Łukasz Kaczmarek nad słynnym Loch Ness (Fort Augustus) podczas szkockiej wyprawy śladami Jamesa Murraya.

UZUPEŁNIĆ BADANIA

– Murrayowi zawdzięczamy opisy niesporczaków z Arktyki, Antarktyki, Afryki, Himalajów, ale przede wszystkim z Anglii i rodzinnej Szkocji – mówi prof. Kaczmarek. – Jędrzek zaproponował, abyśmy pojechali jego śladami do Szkocji i sprawdzili, czy uda się ponownie odnaleźć opisane przez niego gatunki. Naszym celem jest ich ponowne opisanie – tym razem na podstawie analizy morfologicznej i molekularnej, zgodnie ze standardami współczesnej nauki – zapewnia.

Od pomysłu do realizacji droga okazała się krótka. Dzięki własnym środkom oraz wsparciu dziekan Wydziału Biologii naukowcy mogli ruszyć w teren. Korzystając z zapisków szkockiego badacza, odwiedzili m.in. okolice Jeziora Loch Ness. Potwora wprawdzie nie spotkali, ale być może właśnie dzięki temu mogli spokojnie pobierać próbki do badań.

– Dziś bardzo trudno dokładnie określić miejsca, w których Murray prowadził swoje badania. Obecnie miejsca zbierania próbek oznaczamy choćby przy pomocy GPS-u – wyjaśnia prof. Kaczmarek. – Ponad sto lat temu wskazaniem była po prostu „plaża nad Jeziorem Loch Ness”. Która dokładnie? Tego prawdopodobnie już się nie dowiemy. Staraliśmy się jednak pobierać próbki z wielu lokalizacji opisanych przez szkockiego naukowca. Odwiedziliśmy m.in. Fort Augustus, Loch Morar czy zbiornik Gryffe. I tak mieliśmy zdecydowanie łatwiej niż w przypadku podążania śladami niesporczaków opisanych choćby w Tanzanii – zauważa.

GENETYKA PRZEDE WSZYSTKIM

– W naszych badaniach kluczowe znaczenie ma nie tylko morfologia, ale też genetyka. Obecnie, odkrywając nowy gatunek niesporczaka, sekwencjonujemy i analizujemy fragmenty jego DNA i RNA (tzw. barcode’y). Dzięki temu możemy określić stopień pokrewieństwa między organizmami albo stwierdzić, że mamy do czynienia z nowym gatunkiem, rodzajem czy nawet wyższą jednostką taksonomiczną – tłumaczy Jędrzej Warguła.

Wyzwaniem okazał się fakt, że Murray opierał swoje badania głównie na gatunkach wodnych żyjących w jeziorach, które w Europie charakteryzują się niewielkim zróżnicowaniem morfologicznym. Wiele gatunków występujących dziś w Polsce czy we Włoszech opisano właśnie na podstawie szkockich opisów Murraya i do dziś nie wiadomo, czy są to te same organizmy, czy może odrębne gatunki lub nawet rodzaje. Różnice między nimi bywają bowiem minimalne. Odpowiedź mogą przynieść dopiero analizy genetyczne.

– Zebranie materiału genetycznego z odkrytych niesporczaków pozwoli nam to potwierdzić lub wykluczyć – mówi doktorant. – Istotnym elementem są także badania środowiskowe. Dziś, oprócz klasycznej morfologii, do określenia liczby gatunków żyjących np. w jeziorze wykorzystuje się metabarcoding, czyli połączenie analizy „kodów kreskowych DNA” z sekwencjonowaniem nowej generacji. Metoda ta umożliwia jednoczesną identyfikację wszystkich organizmów obecnych w jednej próbce środowiskowej – od bakterii i grzybów po rośliny i zwierzęta – wyjaśnia badacz.

Jak podkreśla, metody molekularne pozwalają ocenić poziom różnorodności biologicznej, jednak do ich skutecznego wykorzystania potrzebny jest dokładny opis gatunku oraz przypisana do niego sekwencja genetyczna. Dlatego wyprawa do Szkocji i ponowne odnalezienie gatunków opisanych przez Murraya może w przyszłości pomóc w ocenie różnorodności niesporczaków w jeziorach – zarówno w Europie, jak i w innych częściach świata.

TYLKO 13 PROCENT

Dziś danych molekularnych dotyczących niesporczaków wciąż jest niewiele – obejmują zaledwie ok. 13 proc. wszystkich znanych gatunków. Skala braków jest ogromna. Kryptycznych gatunków mogą być tysiące, a sama technika barcodingu rozwija się dopiero od nieco ponad dwóch dekad. Tymczasem badania nad niesporczakami sięgają jeszcze XIX w.

– Kiedy zaczynałem pracę z niesporczakami na początku XXI w., nikt jeszcze nie mówił o barcodingu. Co więcej, nawet w 2015 r. takich badań praktycznie się nie prowadziło, dlatego genetyka stosunkowo późno weszła do „niesporczakologii” – przyznaje prof. Łukasz Kaczmarek. – W efekcie nie dysponujemy odpowiednimi bibliotekami danych. Nawet jeśli uzyskamy ogromną liczbę sekwencji z całych siedlisk, często nie potrafimy przypisać ich do konkretnych gatunków. Brakuje bowiem baz referencyjnych, które pozwalałyby na takie porównania. Dlatego musimy ponownie odnaleźć dany gatunek, opisać go morfologicznie i genetycznie, a dopiero później będzie można wykorzystywać te dane w badaniach ekologicznych i bioróżnorodnościowych – wyjaśnia.

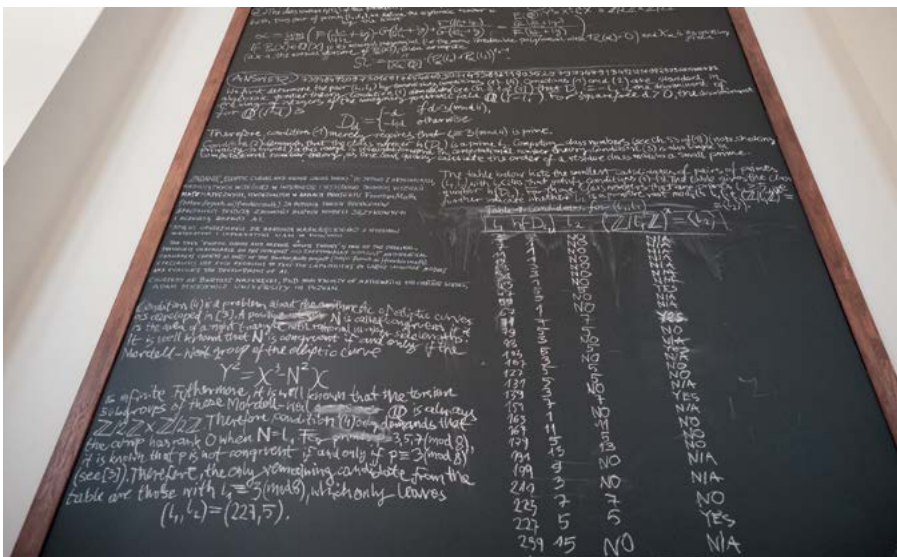
Wyprawa do Szkocji i podążanie śladami wybitnego badacza okazały się fascynującą naukową przygodą. Teraz jednak przyszedł czas na żmudną pracę laboratoryjną. Poznańscy naukowcy są dopiero na początku drogi: przeanalizowali dotąd tylko kilka próbek, a kolejne czekają w zamrażarkach. Zadanie nie będzie łatwe, ponieważ poza współczesnymi analizami badacze dysponują jedynie rysunkami i opisami pozostawionymi przez Murraya. Mimo to liczą na interesujące wyniki i wartościowe publikacje naukowe. ■



AI BEZ MAGII

Wystawa „AI. Algotrymy Iluzji” w Centrum Kultury Zamek to efekt ścisłej współpracy instytucji kultury z UAM – od koncepcji kuratorskiej po wykorzystanie zasobów uczelni. Refleksja zarówno artystów, jak i naukowców nad sztuczną inteligencją ma tu wymiar humanistyczny.

EWA KONARZEWSKA-MICHALAK



Jedna z tablic z rozpisaniem przez dr. Bartosza Naskręckiego problemem matematycznym, który naukowiec postawił przed AI, by sprawdzić jej poziom zaawansowania

KONTROWERSJE



Agnieszka Kurant, „Chemical Garden”

Kuratorkami wystawy, którą można oglądać od marca, są **dr Sylwia Szykowna** i **dr Aleksandra Kosior** z Instytutu Kulturoznawstwa. Niecodzienne przedsięwzięcie prezentuje perspektywę humanistyczną w rozważaniach nad nowoczesnymi technologiami. Nie znajdziemy tu wytworów sztuki generatywnej, za to możemy podziwiać wiele prac, których autorzy krytycznie odnoszą się do rozwoju systemów sztucznej inteligencji (AI).

– Na wystawie nie ma dzieł, które skupiałyby się na narzędziach, pokazując ich technologiczne zaawansowanie – mówi dr Sylwia Szykowna. – Pytamy o to, czym są systemy AI i jak działają. Stąd tytuł ekspozycji: odbiorcy mają niejako zajrzeć do czarnej skrzynki technologii – wyjaśnia.





Weronika Gęsicka, „Encyklopedia”

Kuratorki zapraszają do zastanowienia się nad narracjami, także medialnymi, które narosły wokół zbiorczej nazwy „AI”.

– Systemy AI coraz silniej nas od siebie uzależniają, przez co rzadziej zastanawiamy się nad mechanizmami ich działania. Wchodząc z nimi w relacje, otrzymujemy od razu gotowy efekt, który nam wystarcza. Ta bezkrytyczność stanowi jeden z głównych problemów, jakie pojawiają się w relacjach człowieka z technologiami – uważa dr Sylwia Szykowna.

– Efekt, który otrzymujemy, ma posmak magii, lubimy być urzeczonymi technologiami. Na wystawie proponujemy odarcie AI z nimbu tajemniczości, podjęcie próby zrozumienia tego, co się dzieje za kulisami – uzupełnia dr Aleksandra Kosior.

Ekspozycja przywołuje długą historię rozwoju technologii, której efektem jest AI. Ścieżka zwiedzania, na którą składają się m.in. kapsuły czasu, prowadzi przez wybrane wątki: od wiedzy, władzy, wyobrażeń kulturowych, więzi, po wysiłek ludzki. Pokazują one silne powiązanie przeszłości z teraźniejszością.

Do współpracy zaproszono artystów z kraju i zagranicy. W jednej z pierwszych sal widzimy m.in. prace Agnieszki Kurant dotyczące kwestii relacji między środowiskiem i technologią. To fotografie, które zarejestrowały proces tworzenia dzieła „Chemical Garden”. Artystka w krzemianie sodu rozpuściła sole metali: kobaltu, manganu, żelaza.

– Powstałe w ten sposób przepiękne obrazy mocno kontrastują z wysokimi kosztami środowiskowymi rozwoju systemów AI. Prace Kurant pokazują, że wydobywanie minerałów ziem rzadkich, niezbędnych do budowy współczesnych technologii, prowadzi do poważnej degradacji środowiska naturalnego – komentuje dr Sylwia Szykowna.

Fotografie korespondują z minerałami z kolekcji Muzeum Ziemi oraz Instytutu Geologii. Nawiązują do problemu władzy i walki o zasoby naturalne. AI, pozornie abstrakcyjna, w dużym stopniu opiera się na czymś bardzo materialnym, jak surowce.

Ekspozycje i aranżacja holu nawiązują do historii Zamku, który w dwudziestolecie międzywojennym był siedzibą Uniwersytetu Poznańskiego. Uczelnia wykształciła wielu matematyków, m.in. tych, którzy

przyczynili się do złamania szyfru Enigmy. Zobaczymy tu też gabloty herstoryczne, pokazujące uczestnictwo kobiet w rozwoju technologii. Wśród znanych matematyczek jest **Lidia Seipelt-Lawęcka**, jedna z pierwszych kobiet, która obroniła doktorat z matematyki na Uniwersytecie Poznańskim. Przedmioty zarówno wykorzystane w tej przestrzeni, jak i w innych pomieszczeniach kuratorki wypożyczyły z różnych wydziałów UAM, Biblioteki Uniwersyteckiej, Archiwum UAM, Zbiorów Przyrodniczych, Centrum Szyfrów Enigma. W holu można obejrzeć również trzy tablice z rozpisaniem przez **dr. Bartosza Naskręckiego** problemem matematycznym, który naukowiec postawił przed SI, by sprawdzić poziom jej zaawansowania.

Obszerna ekspozycja łącząca dzieła sztuki z ekspozycjami naukowymi była dużym wyzwaniem organizacyjnym. Przygotowanie jej zajęło zespołowi niemal dwa lata.

– Dla nas, kuratorek, największym wyzwaniem była praca koncepcyjna: jaki tytuł wybrać, jak ułożyć prace w opowieść, która nie będzie ani zbyt technofilska, ani zbyt pesymistyczna. Staraliśmy się znaleźć złoty środek. Osobną kwestią było szerokie partnerstwo z UAM i wybór przedmiotów, które chcieliśmy pokazać. W ich gromadzeniu pomogło nam wiele osób – wspomina dr Aleksandra Kosior.

W projekcie szczególnie nacisk położono na edukację, dlatego wystawę uzupełniło wiele wydarzeń towarzyszących, również z udziałem naukowców UAM. **Profesor UAM Agata Duczmal-Czernikiewicz** (Wydział Nauk Geograficznych i Geologicznych) wygłosiła wykład poświęcony pozyskiwaniu pierwiastków i metali ziem rzadkich, dr Bartosz Naskręcki (Wydział Matematyki i Informatyki) podczas Nocy Muzeów opowiadał o wpływie AI na nauki ścisłe, **dr Filip Biały** (Collegium Polonicum Słubice) poprowadził dyskusję po filmie „Ex Machina”. Warto dodać, że konsultacji przy tworzeniu lekcji muzealnych udzielał **dr Jakub Alejski** (Wydział Antropologii i Kulturoznawstwa).

Ekspozycja, która jest otwarta do 12 lipca, cieszy się dużym zainteresowaniem. Zwiedza ją młodzież szkolna, jak również osoby zaintrygowane tematem nowych technologii.



WIĘCEJ
uniwersyteckie.pl

CZŁOWIEK ORKIESTRA

Muzyk, który spełnia swoje marzenia. Życiowe wybory przyniosły mu z jednej strony stabilizację, z drugiej twórcze spełnienie. **Profesor Mirosław Kordowski** – dyrygent kapelmistrz, tamburmajor, aranżer, wykładowca uniwersytecki, pedagog konsultant, specjalista nauki gry na instrumentach dętych.

MAGDALENA ZDROWICKA-WAWRZY尼亚K



Mirosław Kordowski związany jest z Wydziałem Pedagogiczno-Artystycznym UAM. W roku akademickim 2025/2026 uruchomiona została jego autorska specjalność na studiach II stopnia edukacji artystycznej w zakresie sztuk muzycznych prowadzenie orkiestr dętych – kapelmistrz-tamburmajor. Pan profesor,

opowiadając o swoim zamiśle kształcenia przyszłych dyrygentów orkiestr marszowych, zauważa, że specjalność ta nie wyczerpuje tematu – dopiero pełen tok studiów wyposażyłyby studenta w wiedzę i praktykę w powyższej problematyce. Dyrygowanie orkiestrą dętą jest nie tyle wyższym poziomem od dyrygowania chórem, ile zgoła innym – dyrygent musi mieć wiedzę



Profesor Mirosław Kordowski oraz członkowie założonej przez niego w 2005 r. Młodzieżowej Orkiestry Dętej „Kujawia”

o instrumentach dętych i perkusyjnych, znać skale instrumentów, znać strój instrumentów transponujących, umieć pracować z czterdziestogłosową partyturą orkiestrową, a co więcej, odnajdywać się w kierowaniu orkiestrą, gdy ta się przemieszcza.

Profesor Kordowski jest równocześnie kapelmistrzem Młodzieżowej Orkiestry Dętej Kujawia, którą założył w 2005 r. (wówczas była to Młodzieżowa Orkiestra Dęta OSP przy Miejsko-Gminnym Ośrodku Kultury w Koronowie). W 2015 r. z Kujawią zdobył tytuł mistrzów Europy w Rastede (Niemcy), przywożąc stamtąd jeden złoty medal i trzy srebrne, w 2016 r. z tych samych mistrzostw przywiózł z orkiestrą cztery srebrne medale. Z Kujawią osiągnął ponad 100 potwierdzonych sukcesów, zdobywając nagrody Grand Prix, pierwsze i drugie miejsca w prestiżowych przeglądach, festiwalach i konkursach, z czego 81 na poziomie międzynarodowym. Również z Big-Bandem UAM był laureatem dwóch konkursów międzynarodowych.

BIEGAŁEM ZA ORKIESTRĄ DĘTĄ

– Wszystko zaczęło się od zauroczenia orkiestrą dętą miejscowej straży. Mieszkałem na wsi i biegałem za orkiestrą dętą, bardzo mi się to podobało – opowiada prof. Kordowski. – Chodziłem do szkoły muzycznej w Kwidzynie i do dobrego liceum, do jednego z najlepszych w województwie elbląskim, które powstało z przedwojennego gimnazjum. Bardzo się cieszyłem, że dostałem się – z małej miejscowości oddalonej 30 km od Kwidzyna – do prestiżowego liceum. Jako uczeń tej szkoły wiedziałem, że jest Wojskowa Szkoła Muzyczna w Gdańsku. Obserwując rynek i widząc zainteresowanie orkiestrami dętymi, już wtedy stwierdziłem, że spróbuję dostać się tam. Będąc w klasie III liceum, pomyślałem, że skończę szkołę, zdam maturę i pójdę do Szkoły Oficerskiej w Dęblinie. To była pierwsza myśl, byłem doskonale przygo-

nowany do egzaminów i wiedziałem też, czego szkoła będzie ode mnie oczekiwać sprawnościowo. Rozmawiałem z moją Mamusią, ale ona się martwiła, mówiła: no co ty, synek, gdzie ty tam, te wypadki... Nie odpuściłem tego, ale po III klasie LO postanowiłem, że jeżeli się nie dostanę do Wojskowego Liceum Muzycznego w Gdańsku, to i tak pójdę do Dębina, do legendarnej Oficerskiej Szkoły Orłąt.

Mirosław dostał się do Wojskowego Liceum Muzycznego. – To było bardzo istotne, bo z piątki dzieci ja byłem najstarszy i Matula – mówi niezwykle ciepło – wychowywała nas sama. Nie dość, że dostałem się do wojskowej szkoły muzycznej, to miałem zapewnioną w perspektywie pracę w wojskowej orkiestrze. Wiedziałem, że zostaną przydzielony do którejś orkiestry i od razu schodzę z garnuszka mojej Mamusi – i ona ma już do wykarmienia czwórkę, nie piątkę. Ja natomiast mam jakiś żołąd i wspieram rodzinę. Obiektywnie trzeba powiedzieć – wojsko mi pomaga: mam gdzie spać, mam co jeść i się edukuję. Wiem, że po tych pięciu latach będę już żołnierzem zawodowym. To były trochę inne czasy – wspomina.

Marzenie o wstąpieniu do Wyższej Szkoły Oficerskiej Sił Powietrznych prysło, ale przyszłość rysowała się w jasnych barwach, zresztą zgodnie z zainteresowaniami. Wśród uczniów WLM w Gdańsku Mirosław, jako jeden z nielicznych, miał już zdaną maturę, większość jego kolegów uczyła się równolegle w szkołach średnich. Jako jedyny ze swego rocznika otrzymał na zakończenie dyplom. – Po ukończeniu szkoły wszyscy otrzymywali przydział. Wszyscy baliśmy się pójścia do Warszawy, od starszych kolegów słyszeliśmy, że służba tam była bardziej wymagająca, orkiestra była w ciągłej dyspozycji i można powiedzieć, że niemal bez przerwy oczekiwała na powitanie nowych ważnych gości na lotnisku – śmieje się. – Zarobkowo niczym miejsca się nie różniły, czy to Warszawa,

czy mniejsza miejscowość: Wałcz, Szczecinek, Słupsk, Koszalin, Kołobrzeg... A mieliśmy wtedy w Polsce 64 orkiestry – wspomina prof. Kordowski.

Ponieważ szkoła znajdowała się na terenie Pomorskiego Garnizonu, pierwszeństwo wyboru muzyków miał inspektor ds. orkiestr Pomorskiego Okręgu Wojskowego. Inspektor przyjeżdżał na egzamin dyplomowy, wybierał i dopiero potem pozostałych muzyków kierowano do orkiestr w całej Polsce. Mirosław pozostał w okręgu pomorskim, trafił do orkiestry w Bydgoszczy.

– Jako adept sztuki muzycznej, pięknie ubrany – w galowym mundurze – stawiłem się w biurze przepustek POW. Przyszedł kapitan i pyta, skąd jestem, odpowiadam, że z Kwidzyna. On dalej pyta, co sądzę o orkiestrze w Wałczu, czy nie chciałbym przypadkiem tam trafić. Myślę, że na pewno wolałbym być w takim miasteczku jak Wałcz, bo pochodzę z niedużej miejscowości, odpowiadam zatem, że jest mi to bliższe. Pan kapitan poszedł, ja czekam i czekam. Za jakiś czas przychodzi i mówi: panie plutonowy, o godz. 12.15 ma pan pociąg do Wałcza, proszę zameldować się do inspektora orkiestr, pana pułkownika, odebrać dokumenty i widzimy się w Wałczu.

OD AKADEMII PO PROFESORA

W trakcie zatrudnienia w Wałczu Mirosław Kordowski ukończył Akademię Muzyczną w Gdańsku na Wydziale Instrumentalnym w klasie saksofonu u prof. Marka Schillera. W roku 2001 ukończył także studia na Uniwersytecie Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy na Wydziale Edukacji Muzycznej w klasie dyrygentury u prof. Sylwestra Matczaka.

– Poprzeczka na dyrygenturze ustawiona była wysoko – opowiada. – Profesor Matczak stawiał kogoś, ten dyrygował, moim zdaniem oszczędnie w ruchach, a później mówi: Mirek, pokaż. Zawsze miałem takie odczucie, że profesor wymaga ode mnie więcej – wspomina.

Stopień doktora sztuki muzycznej w dyscyplinie artystycznej dyrygentura Mirosław Kordowski otrzymał w 2010 r. Pracował już wówczas z orkiestrami dętymi: od roku 2002 z Orkiestrą Dętą OSP Pruszcz, od 2005 z Kujawią. Sprawiało mu to – i nadal sprawia – przyjemność.

Na Wydział Pedagogiczno-Artystyczny trafił jako specjalista w zakresie orkiestr dętych i z pomysłem założenia big-bandu, a w przyszłości uniwersyteckiej orkiestry dętej, co profesorowie **Kazimierz Madziła** i **Andrzej Ryłko** przyjęli z entuzjazmem. Oddelegowali go na próbę chóru, którą prowadził wtedy **Eryk Szolc**, polecili ogłoszenie naboru. Tak też zrobił. Po roku big-band pierwszy raz koncertował, niedługo

później zaprezentował się podczas Koncertu Świątecznego na WPA. Uczestnicy koncertu na pewno pamiętają dyrygenta, który pojawił się na scenie w stroju mikołaja. Niedawno, 7 maja, na zaproszenie pani rektor Big-Band UAM wspólnie z Chórem Akademickim UAM wystąpił podczas dorocznego Koncertu Majowego.

22 października 2018 r. Rada Wydziału Dyrygentury Chóralnej, Edukacji Muzycznej, Muzyki Kościelnej, Rytmiki i Tańca Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina w Warszawie nadała dr. Mirosławowi Kordowskiemu stopień doktora habilitowanego sztuki w dziedzinie sztuk muzycznych, w dyscyplinie artystycznej dyrygentura.

Decyzją Rady Doskonałości Naukowej postanowieniem z dnia 27 czerwca 2024 r. Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej nadał Mirosławowi Kordowskiemu tytuł profesora sztuki w dyscyplinie sztuki muzyczne.

MARZENIA SIĘ SPEŁNIAJĄ

Mirosław Kordowski pytany, czy istnieje w jego życiu coś poza orkiestrami dętymi, staje na baczność i pyta, czy tak by wyglądał, miał tyle energii do pracy, gdyby nie był aktywny fizycznie. I tu zdradza, że równolegle do nauki w szkole muzycznej w Kwidzynie uprawiał judo, a następnie, w WLM-ie w Gdańsku, koreańską odmianę karate kyoksul. Był sportowcem zawodnikiem, uczestniczył z sukcesami w licznych zawodach. Wówczas myślał także o karierze sportowej, podjęciu studiów na Akademii Wychowania Fizycznego. Tych dwóch odmiennych kierunków nie dało się jednak pogodzić. Ze swego rodzaju pomocą przyszła kontuzja, która uniemożliwiła uprawianie sportu zawodowo.

Historia prof. Mirosława Kordowskiego jest opowieścią o spełnianiu marzeń, których jednocześnie muzykowi nie brakuje. Pytany o te zawodowe, uchyla rąbka tajemnicy:

– Marzę o otwarciu kierunku orkiestr dętych, w którego skład wejdzie cała oprawa uroczystości, pokazy musztry paradnej i show, co byłoby czerpaniem z dobrych wzorów orkiestr amerykańskich, które są wizytówką uniwersytetów. Chodzi tu o wyszkolenie muzyków, umundurowanie ich, pracę nad prezencją, grę w marszu, prezentowanie koncertów estradowych również z wokalistami. Co więcej, każda szanowana orkiestra ma swoje mażoretki. Warto dodać, że obecnie mamy w Polsce mażoretki klasy światowej, ale ciągle ich sytuacja w zakresie wykształcenia jest nieuregulowana. Nowy kierunek orkiestr dętych może być wspaniałą promocją poprzez umundurowaną w stroje i barwy uniwersytetu maszerującą orkiestrę z mażoretkami wychodzącymi do społeczeństwa... I drugi temat to obecność różnych sekcji instrumentalnych muzyki rozrywkowej i jazzu w Kaliszu. ■



ZAKULISOWA WŁADZA ŚREDNIOWIECZNYCH KOBIET

Finał projektu UAM odsłania nieoczywiste mechanizmy władzy Jagiellonek. Równoległe powstała książka o kobietach średniowiecza, pokazująca, że ich sprawczość miała wiele twarzy. Oba przedsięwzięcia łączy osoba **prof. UAM Magdaleny Biniś-Szkopek**, badaczki specjalizującej się m.in. w odkrywaniu dziejów kobiet.

EWA KONARZEWSKA-MICHALAK

Zbliża się koniec projektu „Polskie królowe XV i XVI wieku jako żony i matki”, prowadzonego przez międzynarodowy zespół pod kierownictwem prof. Magdaleny Biniś-Szkopek z Wydziału Historii. O idei badań przybliżających codzienne życie, relacje rodzinne i wpływy polityczne Jagiellonek rozmawialiśmy cztery lata temu, natomiast dziś podsumowujemy to, co naukowcy odkryli przez ten czas.

Zespół wystąpił o przedłużenie grantu m.in. ze względu na opóźnienia związane z publikacją. Materiały merytoryczne okazały się obszerniejsze, niż zakładano, dlatego zamiast planowanego jednego tomu ukazały się dwa, nakładem Wydawnictwa Brepolis.

Profesor Biniś-Szkopek razem z **dr. Robertem Tomczakiem** pojechali na konferencję do Melbourne, gdzie spotkali się ze specjalistami od lat zajmującymi się historią królowych. Tam narodził się pomysł na pierwszy tom.

Naukowcy z UAM ściśle współpracują z Australian Catholic University, a zwłaszcza z prof. Dariusem von Güttnerem-Sporzyńskim oraz prof. Susan Broomhall, która recenzowała pierwszy tom i współredaguje drugi. To kluczowa badaczka w pracowni zajmującej się dziejami kobiet, specjalizująca się w badaniach nad

królowymi. Z dużym zainteresowaniem włączyła się do projektu, ponieważ królowe polskie, podobnie jak inne władczynie z Europy Środkowo-Wschodniej, są dla niej nowym obszarem badawczym.

– Chcieliśmy, żeby badacze innych dynastii (np. Tudorów) pokazali swoje metody: źródła, ich interpretację. Interesowało nas, jak odczytują ubiór, biżuterię, zakupy, formy komunikacji z królem, poddanymi oraz udział królowej w liturgii – mówi kierowniczka projektu. – U nas takie badania istniały, ale były wybiórcze. Większość królowych XV-XVI w., poza Jadwigą Andegaweńską i częściowo Boną, nie ma pełnych biografii. Dlatego doszliśmy do wniosku, że bez podstawowych, także międzynarodowo dostępnych, opracowań nie da się zaczynać zaawansowanych badań. Konieczny jest najpierw tom wprowadzający te postacie do historiografii – ukazujący ich specyfikę, stan badań, źródła i różnorodność, a nie tylko fakty biograficzne. Od tego zaczęliśmy, angażując szerokie grono autorów, by opisać wszystkie te kobiety: od żon Jagiełły po Annę Jagiellonkę oraz córki Elżbiety Rakuszanek i Kazimierza Jagiellończyka.

Członkowie zespołu opublikowali już wiele artykułów w wysoko punktowanych polskich czasopismach, ale największym sukcesem okazało się przyjęcie tekstu dwojga autorów do pre-



stizowego „The Sixteenth Century Journal” (planowana data publikacji: 2027 r.). Artykuł dotyczy relacji małżeńskiej Anny Jagiellonki i Stefana Batorego.

Z ostatnią Jagiellonką wiąże się też wątek macierzyństwa, rozumiany szerzej jako forma sprawowania władzy (*landesmutter* – matka poddanych), obejmujący m.in. opiekę nad siostrzenicami z rodu Wazów. Artykuł na ten temat znajdzie się w drugim tomie.

Istotnym elementem projektu było zorganizowanie panelu o królowych podczas jednej z trzech dużych konferencji „królewskich”, przygotowanych z okazji obchodów tysiąclecia koronacji Bolesława Chrobrego w 2025 r. Cykl ten rozwija **prof. UAM Jacek Kowalski** z Instytutu Historii Sztuki we współpracy m.in. z Poznańskim Towarzystwem Przyjaciół Nauk i Biblioteką Kórnicką.

Podczas panelu wygłoszono cztery referaty przedstawiające postać królowej między sacrum a profanum, w tym przez pryzmat jej cielesności i funkcji biologicznych (ciąża, macierzyństwo, karmienie).

– W XV w. toczyła się ogromna dyskusja, czy królowa powinna karmić piersią, czy też nie. Fizjologia sprawiała, że królowe były silniej związane z profanum, w rozumieniu średniowiecznym, niż królowie – wyjaśnia prof. Biniś-Szkopek.

Konferencja przyniosła też dodatkowe inspiracje. Jedno z wystąpień niezwiązanych z projektem, dotyczące apartamentów królowych na Wawelu i najnowszych ustaleń co do ich funkcjonowania, włączono w formie tekstu do publikacji.

Grant potwierdził, że w porównaniu z krajami Europy Zachodniej tamtego okresu źródeł dotyczących naszych królowych jest o wiele mniej. Dokumenty, listy, dzieła ikonograficzne nie zachowały się – przyczyniły się do tego zapewne wojny targające Rzeczpospolitą w XVII w. Być może znaczenie miał też fakt, że w Polsce renesans zaczął się nieco później.

– Elżbieta Rakuszanka została wychowana na dworze habsburskim, w środowisku światłym, przez kobietę, która doskonale pisała – informuje prof. Biniś-Szkopek. – Poznała tam ludzi pokroju humanisty Piccolominiego. Gdy przyjechała do Polski, wpływała na tworzenie takiego środowiska w Krakowie – dodaje.

Pani profesor właśnie skończyła pisać artykuł poświęcony matce królów i temu, w jaki sposób jej władza przejawiała się w relacjach z dziećmi.

– Kiedy uchwyci się poszczególne fragmenty jej współpracy z synami i córkami, za życia męża i po jego śmierci, pojawia się obraz królowej, która wykorzystuje macierzyństwo, by zarządzać sporą grupą ludzi. Robi to w sposób doskonały, trochę przebiegły, bo działa zakulisowo – wyjaśnia historyczka.

Profesor Biniś-Szkopek zaangażowała się również w publikację poświęconą statusowi i społecznym rolom kobiet z Europy Środkowej w średniowieczu, którą wkrótce wyda Routledge. Praca nad publikacją zaczęła się w 2022 r. po kongresie mediewistów

W średniowieczu to, do jakiego stanu się należało, było istotniejsze niż płeć, która choć ważna, nie była jednak pierwszorzędna

w Katowicach. Grupa historyczek podjęła wyzwanie ukazania życia kobiet z różnych stanów, nie tylko arystokratek. Pani profesor opracowała artykuł o ubogich kobietach, które występowały przed sądami konsystorskimi w pierwszej połowie XV w. Kolejną pracę poświęconą kobietom z niższych warstw społecznych w Małopolsce przygotowała dr hab. Małgorzata Kołacz-Chmiel, autorka „Ludowej historii kobiet”.

Redaktorki zebrały też grupę osób, które zgłębiają temat polskich królowych. Jest wśród nich prof. UŚ Bożena Czwójdruk, która napisała artykuł o Zofii Holszańskiej, natomiast dr hab. Aneta Pieniądz przedstawiła wpływ biblijnego modelu kobiety na myślenie kobiet z elit. Funkcjonowanie mieszczek opisała z kolei prof. Agnieszka Bartoszewicz.

– Kobiety z każdego stanu dysponowały władzą. Inną władzę miała królowa, inną mieszczka czy włościanka. Kobiety z ludu cechowały się pewną samodzielnością. Chyba jako jedyne mogły pójść do sądu i poprosić o stwierdzenie ważności małżeństwa w sytuacji, kiedy mąż okazywał się np. impotentem i zataił to przed zawarciem małżeństwa. Sądy kościelne tym się zajmowały – naświetla współredaktorka książki.

Panie w XV w. cieszyły się większą wolnością niż w wiekach późniejszych. Przede wszystkim mogły zarabiać i samodzielnie się utrzymać, dzięki czemu zdobywały częściową niezależność. Oczywiście wszyscy byli spętani kajdanami społecznymi, również mężczyźni. W średniowieczu to, do jakiego stanu się należało, było istotniejsze niż płeć, która choć ważna, nie była jednak pierwszorzędna.

Władzą kobiet w XV-XVI w. prof. Biniś-Szkopek chciałaby się zająć w kolejnym projekcie, na który zamierza pozyskać finansowanie z NCN. To bardzo ciekawy, a jednocześnie dość słabo poznany okres. Badania często kończą się na pierwszej połowie XV w., potem następuje luka i uwaga przesuwana się na XVII w., kiedy pojawia się więcej źródeł, łatwiejszych do opracowania, pisanych w języku polskim.

– Świadomie nie chcę wychodzić poza XVI w., czyli czas panowania Jagiellonów. Naturalnym punktem zamknięcia jest dla mnie postać Anny Jagiellonki – ostatniej przedstawicielki dynastii na tronie. Epoka Wazów należy już do innej, elekcyjnej rzeczywistości politycznej. Myśląc o dalszym rozwoju badań, chciałabym połączyć dwa dotychczasowe obszary mojej pracy: wieloletnie studia nad kobietami z niższych warstw społecznych, prowadzone m.in. na podstawie źródeł sądowych, oraz badania nad królowymi, rozwijane w ramach grantu o polskich królowych. Brakuje mi jeszcze ogniwa pośredniego. Dlatego tworzę zespół badaczy z Polski i zagranicy (m.in. z Australii i Czech), którzy chcą wspólnie przygotować tom poświęcony różnym formom kobiecej władzy – wyjaśnia naukowczyni. ■

OIKEIOS LOGOS

MANIFEST FUNDACYJNY JĘZYKOZNAWSTWA JAKO NAUKI CENTRALNEJ



STANISŁAW PUPPEL

1. DEKLARACJA jako wstęp

Nie istnieje u człowieka poznanie poza językiem.

Nie istnieje nauka poza językiem.

Nie istnieje wspólnota ludzka poza językiem.

A jednak język – ten najbardziej oczywisty z naturalnych fenomenów człowieka nazywającego (*Homo nominans*) – pozostaje systematycznie niedostrzegany, marginalizowany, redukowany do roli narzędzia pomocniczego.

Niniejszy manifest językoznawcy jest sprzeciwem wobec tej w pełni nieuprawnionej redukcji.

2. OIKOS: drugi dom człowieka

Człowiek zamieszkuje dwa domy.

Pierwszy dom to dom biologiczny: środowisko ziemskie (ziemski nośnik), wspólne wszystkim organizmom (całemu biosowi).

Drugi dom to *oikos* języka i kultury – środowisko wyłącznie ludzkie, w którym powstaje (jest generowany) jednostkowy i zbiorowy sens istnienia, wiedza i wspólnota ludzka.

Wobec tego:

Nie wchodzimy do tego 'domu'.

Rodzimy się w nim.

Trwamy w nim przez cały okres naszego osobniczego istnienia.

Nie możemy go opuścić.

Język nie jest narzędziem.

Język jest środowiskiem.

3. PERIPATOS

Poznanie języka nie dokonuje się poprzez punktowe jego uchwycenie, lecz przez ruch.

Peripatos – przechadzka – jest tutaj właściwą figurą epistemologiczną językoznawstwa jako dyscypliny naukowej. Jest bowiem:

– ruchem przez wszystkie poziomy struktury języka,

– ruchem przez wielorakie dyskursy i zasoby,

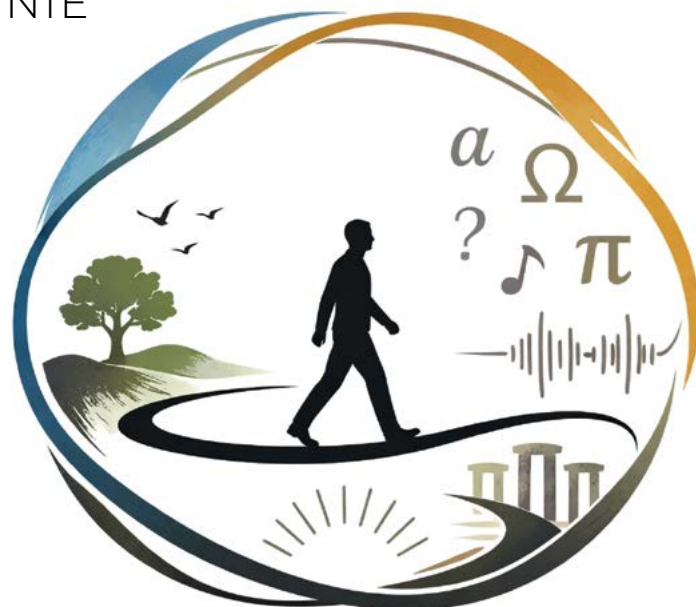
– ruchem przez wielorakie tradycje i regiony występowania,

– ruchem przez własne doświadczenia badawcze językoznawcy.

Wobec tego:

Nie ma jednego punktu widzenia na język.

Jest tylko nieustanne przemieszczanie się w jego obrębie.



4. FUNDAMENT JĘZYKA:

dźwięk oparty na kontraście

Każda przechadzka, w tym „przechadzka językoznawcza”, musi mieć punkt wyjścia.

Tym punktem jest dźwięk – najprostszy, a zarazem najbardziej fundamentalny wymiar języka.

Dźwięk jako podstawowy element struktury języka nie jest materią chaotyczną.

Jest on:

- systemem kontrastów,
- systemem złożonych relacji funkcjonalnych.

Z tego fundamentu wyrasta cała, niezwykle złożona architektura języka.

Kto nie rozumie fundamentów, nie rozumie języka.

5. SKANDAL OCZYWISTOŚCI

Największym paradoksem języka jest jego oczywistość.

Wobec tego:

To, co nieustannie obecne, staje się niewidzialne.

To, co absolutnie konieczne, przestaje być problematyczne.

Dlatego język – mimo swojej oczywistej fundamentalnej i nieusuwalnej obecności – zostaje zepchnięty na margines refleksji naukowej.

Każda osoba uprawiająca naukę funkcjonuje w świecie języka (domu), w taki sposób, że:

- posługuje się językiem,
- produkuje język (zarówno odrębne słowa, jak i dyskursy),
- żyje w języku.

Ale nie uznaje języka za zjawisko centralne.

Jest to wyraźnie systemowe niedoszacowanie w obrębie całej architektury nauki.

6. NAUKA BEZ JĘZYKA NIE ISTNIEJE

Każda teoria naukowa jest formułowana w języku.

Każdy eksperyment jest opisywany w języku.

Każda wiedza jest przekazywana w języku.

Nie istnieje „zewnątrze języka”.

Język jest warunkiem brzegowym możliwości nauki.

A jednak nauki, które z tego warunku korzystają, odmawiają mu centralnego miejsca w nauce.

To jest pełne odwrócenie porządku poznania i jako takie wymaga korekty.

7. WSPÓLNOTA PRZECHADZKI

Nie istnieje samotne językoznawstwo.

Każda refleksja nad językiem jest zanurzona w wiekowej tradycji obejmującej:

- nazwiska,
- koncepcje i doktryny,

- spory,
- kontynuacje.

Peripatos jest zawsze współobecnością i współzależnością powyższych elementów.

Zatem ów spacer odbywa się zawsze w towarzystwie, nawet jeśli jest to towarzystwo milczące, bo głęboko zawarte w grubych pokładach czasu i bogactwie odłożonych dzieł.

8. POSTULAT FUNDACYJNY

Językoznawstwo nie jest jedną z wielu dyscyplin.

Językoznawstwo jest dyscypliną fundacyjną.

Uzasadnienie:

Nie dlatego, że jest ważniejsze empirycznie i pojęciowo.

Lecz dlatego, że jest wcześniejsze niż cały gmach nauki.

Lecz dlatego, że poprzedza wszystkie inne dyskursy.

Lecz dlatego, że umożliwia ich istnienie i dalszy rozwój.

Lecz dlatego, że ostatecznie organizuje ich formę.

9. WNIOSEK

„Dom języka” to nie peryferia nauki.

To jej podstawowy warunek.

Zatem: przywrócenie językoznawstwu należnego mu miejsca oznacza nie jego uprzywilejowanie, lecz korektę błędu poznawczego w sensie właściwego rozpoznania struktury całego systemu wiedzy.

10. EPILOG

Nie wychodzimy z języka.

Nie możemy go zawiesić.

Nie możemy go przekroczyć.

Możemy jedynie – świadomie lub nie – w nim się poruszać.

Niniejszy manifest jest wezwaniem do ruchu w pełni świadomego. ■

Nowe narzędzie dla społeczności akademickiej: AMU Translator

Z przyjemnością informujemy, że od 1 kwietnia 2026 r. pod adresem **amu.laniqo.com** oficjalnie dostępny jest AMU Translator – nowoczesny system tłumaczeniowy dla pracowniczek i pracowników UAM oraz doktorantek i doktorantów.



UNIWERSYTET
IM. ADAMA MICKIEWICZA
W POZNANIU

Sign in to your account

Log in with UAM Account

Or sign in with

Use Credentials



CO POTRAFI AMU TRANSLATOR

Narzędzie zostało zaprojektowane z myślą o specyfice pracy akademickiej i administracyjnej, wobec czego oferuje:

- tłumaczenie dokumentów – wsparcie dla wielu formatów, m.in. PDF, DOCX, PPTX, HTML, XML, SRT;
- wszechstronność – możliwość tłumaczenia tekstu wpisywanego ręcznie, wklejanego oraz mowy;
- bogactwo języków – system obsługuje 39 języków (w tym ich regionalne odmiany);
- precyzję terminologiczną – zintegrowany oficjalny glosariusz UAM (PL-EN), dbający o poprawność nazw jednostek organizacyjnych i stanowisk.

BEZPIECZEŃSTWO I PRYWATNOŚĆ

Bezpieczeństwo danych jest priorytetem, zatem:

- dane nie są wykorzystywane do trenowania modeli AI;
- wszystkie informacje są przechowywane na serwerach zlokalizowanych na terenie Unii Europejskiej;
- tylko użytkownicy mają dostęp do tłumaczonych dokumentów.

LOGOWANIE I KONFIGURACJA

- system jest w pełni zintegrowany z uczelnianym systemem logowania;
- **ważne:** po pierwszym zalogowaniu należy ustawić drugie, zapasowe hasło. Jest ono niezbędne ze względów bezpieczeństwa oraz umożliwi korzystanie z profesjonalnych wtyczek do programów memoQ oraz Trados; adres AMU Translator można dodać do ulubionych.

MATERIAŁY POMOCNICZE

Zachęcamy do zapoznania się z instrukcją obsługi przed rozpoczęciem pracy: public.laniqo.com/AMU_TRANSLATE_INSTRUKCJA.pdf

WSPARCIE TECHNICZNE

Wszelkie pytania, sugestie lub zauważone nieprawidłowości prosimy zgłaszać bezpośrednio do dostawcy technicznego Laniqo: info@laniqo.com.

CO DALEJ?

Jeśli system okaże się efektywny i satysfakcjonujący, w kolejnym roku kalendarzowym nastąpi jego rozszerzenie także dla osób studiujących.

Zachęcamy do aktywnego korzystania z nowego narzędzia – oszczędzającego czas i wspierającego codzienną pracę akademicką!

ZAPOWIEDZI

29 CZERWCA – 1 LIPCA:

Międzynarodowa Konferencja „Emerging Adults on the Road to Maturity (EA2026)”

EA2026 to interdyscyplinarna przestrzeń prezentacji wyników badań oraz dyskusji poświęconych wyłaniającej się dorosłości (*emerging adulthood*) – jej dynamice rozwojowej, uwarunkowaniom kulturowym oraz znaczeniu dla edukacji, zdrowia psychicznego, relacji i życia społecznego.

W programie przewidziano wystąpienia prof. Jeffreyja Jensena Arnetta i prof. Lene Arnett Jensen (Clark University, USA), a także sesje referatowe i posterowe sprzyjające nawiązywaniu współpracy międzynarodowej.

► Organizatorami wydarzenia są Wydział Teologiczny UAM oraz Society for the Study of Emerging Adulthood.

27-30 SIERPNI:

18. Międzynarodowa Konferencja Europejskiego Stowarzyszenia Studiów Japonistycznych (EAJS)

European Association for Japanese Studies (EAJS) to największa na świecie organizacja zrzeszająca specjalistów z zakresu humanistyki i nauk społecznych zajmujących się badaniami nad Japonią oraz jej relacjami z innymi państwami. Stowarzyszenie skupia badaczy nie tylko z Europy, ale także z Ameryki Północnej i Azji, w tym z samej Japonii.

Konferencja EAJS odbywa się od 1973 r. co trzy lata w różnych miastach Europy, a od 2013 r. również w Japonii. Tegoroczna edycja została zaplanowana w Poznaniu i odbędzie się na Wydziale Prawa i Administracji UAM. Za jej przygotowanie odpowiada lokalny komitet organizacyjny, w którego skład wchodzi pracownicy m.in. Zakładu Japonistyki Instytutu Orientalistyki oraz innych jednostek UAM pod kierownictwem **prof. UAM Beaty Bochorodycz**.

► Więcej informacji: eajs.eu/eajs2026-conference/

2-5 WRZEŚNIA:

14. Międzynarodowa Konferencja na temat Przystawiania Trzeciego Języka i Wielojęzyczności (14th International Conference on Third Language Acquisition and Multilingualism)

Wydarzenie poświęcone jest zagadnieniom wielojęzyczności, ze szczególnym uwzględnieniem przyswajania i używania trzech lub więcej języków. Program konferencji obejmuje prezentacje wyników badań opartych zarówno na podejściach empirycznych, jak i teoretycznych, które wnoszą istotny wkład w tę dynamicznie rozwijającą się dziedzinę.

Wykłady plenarne wygłoszą: Agnieszka Otwinowska-Kasztelanin z Uniwersytetu Warszawskiego, Guillaume Thierry z Bangor University oraz Ludovica Serratrice z University of Reading.

► Organizatorami konferencji są Wydział Anglistyki UAM oraz Wydział Neofilologii UAM.

16-18 WRZEŚNIA:

V Kongres Europeistyki „Europa w czasach przełomu”

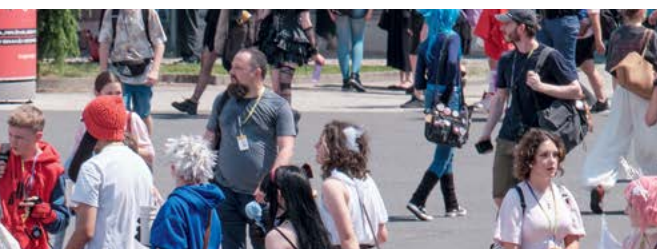
V edycja Kongresu, organizowanego cyklicznie w wybranych ośrodkach akademickich, odbędzie się na Wydziale Nauk Politycznych i Dziennikarstwa UAM. Wydarzenie stanowi ważne forum dialogu i współpracy między środowiskami badawczymi z Polski i zagranicy. Tematy wiodące tegorocznej edycji obejmują tożsamość, kontestację, odporność oraz transformację – zagadnienia kluczowe dla zrozumienia przemian zachodzących we współczesnej Europie.

W dyskusji nad najważniejszymi wyzwaniem stojącymi przed Europą uczestniczyć będą przedstawiciele politologii, ekonomii, prawa, socjologii, historii, filozofii oraz stosunków międzynarodowych. Jednym z głównych prelegentów będzie prof. Jan Zielonka, politolog i profesor Uniwersytetu Oksfordzkiego.

– Kongres łączy refleksję teoretyczną z pogłębioną analizą procesów i wyzwań, z którymi mierzy się dziś Europa – podkreśla **prof. UAM Beata Przybylska-Maszner** z Wydziału Nauk Politycznych i Dziennikarstwa UAM, przewodnicząca komitetu organizacyjnego.

Organizatorami wydarzenia są Wydział Nauk Politycznych i Dziennikarstwa UAM oraz Polskie Towarzystwo Studiów Europejskich.

► Więcej informacji: eukongres2026.web.amu.edu.pl/



Na terenie Międzynarodowych Targów Poznańskich miała miejsce kolejna edycja Pyrkonu. Ponownie obecna była na niej nasza uczelnia, która w ramach projektu Fantastyczny UAM pokazała, że nauka i fantastyka mogą tworzyć wyjątkowe połączenie.

